

.

# OPTYMISTKA



A. Konav

ALEKSANDER ALFRED KONAR

---

# OPTYMISTKA



WARSZAWA — 1929.  
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

6332

I



51



x-33577

6332

I

OPTYMISTKA

— No, no, dziecinko ty moja, to już ostatnia łyżeczka lekarstwa; będziesz zdrową, zobaczysz...

Siadła na łóżku i kroplą po kropli wlewała z aptecznej flaszki do wytartej cienkiej łyżeczki jakąś brunatną miksturę.

Dziewczynka podniosła się na swoim pościeliu. Na wynędzniałej twarzyczce świeciły gorączkowe wypieki. Wargi miała spieczone i popękane, oczy błędne. Widoczna boleść i cierpienie nadawały jej wyraz dorosłej osoby.

Z rezygnacją otworzyła buzię, w którą matka jednym zręcznym ruchem wlała całą łyżkę wstrętnego gorzkiego płynu.

— Mamol! — płaczliwie z wyrzutem wyrzekała chora, i zmęczona opuściła główkę na poduszkę.

Matka całowała ją po twarzy i po rękach; i, podsunąwszy jej rozrzucony na krześle przy łóżku podarty elementarz z kolorowymi obrazkami, brudną lalkę, kalekę bez ręki z długimi

rozczochanemi włosami z konopi i czerwono malowany wózek z niebieskim drewnianym konikiem — zaczęła jej szeroko rozpowiadać, jak ją po chorobie zaprowadzi do Łazienek, do Botaniki, jak pojedą tam tramwajem, przyniosą ze sobą chleba dla łabędzi, które zbliżą się do nich, wyciągną swoje długie szyjki, pochwycą chleb i chlup! w wodę — odpłyną...

Później kupi jej pomarańcze, paczkę pierników i orzechów laskowych... Pójdą do ogrodu Zoologicznego, będą karmiły słonia, tego ogromnego słonia, który wciąż przestępuje z nogi na nogę, macha ogonem, a uszy ma duże i cienkie, jak z szarej tekstury; małpki będą chrupały orzechy...

— Ty lubisz te śmieszne, figlarne małpki; prawda, córko moja?

Opowiadała dziecku to wszystko jednym tchem, ożywiając się i śmiejąc, jak gdyby myśl o małpach i łabędziach rzeczywiście jej się uśmiechała.

Dziewczynka z szeroko rozwartemi żrenicami słuchała jej poważnie, jak dorosła osoba; wreszcie zmęczona przymknęła oczy i usnęła.

Matka odpędzała zieloną gałązką brzęczące muchy i wsłuchiwała się w jej oddech z początku ciężki, potem coraz równiejszy, spokojny.

Otuliła ją kołderką i zdjętą z siebie kraciastą chustką. Ustami dotknęła się delikatnie jej rączek — były mniej gorące, trochę wilgotne.

Przyłożyła dłoń do jej czoła, na którem perliły się pierwsze krople potu...

Odetchnęła, jak gdyby ktoś zdjął jej stufuntowy kamień z piersi; złożyła ręce i dziękczynnie wzniosła oczy do nieba.

— A więc mieli słusność ci poczciwi ludziska, którzy mnie pocieszali; gorączka z dnia na dzień się zmniejsza, gruczoły już prawie znikły, teraz poty... Jest ocaloną!

Zasiadła na jedynym starym, zniszczonym fotelu przy otwartem oknie, wychodzącem na ciemne podwórze i, opuściwszy ręce na kolana, patrzyła jak gdyby bezmyślnie w głąb wiecznie ciemnego podwórza. Cała przeszłość stanęła jej przed oczami.

Kiwała machinalnie głową, jak gdyby witała powstające z grobu przeżyte fakty, wspomnienia, cierpienia...

— Bóg jest dobry, Bóg jest dobry — szepotała.

Przez cały ciąg swego życia nie wątpiła nigdy o tej dobroci.

\* \* \*

Była maleńką dziewczynką, kiedy rodzice, roztrwoniwszy cały majątek, prawie jednocześnie ją osierocili.

Jacyś poczciwi ludziska wzięli ją do siebie; lecz wkrótce litościwy Bóg zesłał jakiegoś dalekiego jej krewnego, który od tej chwili zajął się



jej losem, przyszłością, majątkiem, życiem całym.

Posprzedawał meble jej rodziców i resztę kosztowności; zebrane w ten sposób kilka tysięcy umieścił na hipotecę dóbr swoich, a ją ułokował na jakiejś drugorzędnej pensji.

Po kilku latach wzięto ją na wieś do Farianic. Było jej tam tak dobrze!

Pana owego nazywała wujem, żonę — wujenką, a córkom, pannom prześlicznym, „gruntownie” wykształconym, grającym koncertowo na fortepianie i władającym pięcioma (!) językami — (ajakże!) mówiła: ty i całowała je po twarzy i po rękach, jak siostry rodzone — oczarowana ich wytwornością i talentami.

Okazywała też wszystkim swoją wdzięczność, jak mogła. Pracowała bez wytchnienia od świtu do zmroku. Ależ na wsi wstawać latem nad ranem — to rozkosz prawdziwa!

Cały świat wygląda wtedy, jak gdyby był pokryty przejrzystą zasłoną z blade niebieskiego tiulu, lub fioletowo - sinym dymem z cudownej jakiejś fajki. A niebo! Dwuch cali podobnych do siebie na niem nie znajdziesz. Tu — spokojne, poważne, jak błękitne jezioro; owdzie — długie lustrzane tafle błyszczą na niem w szarych ramach z chmur; tam przerzynają się krwawe ogniste, cienkie pręgi; dalej powiewają chmury, mkną obłoki; pocięte w misterne esy i floresy; a księżyc, coraz bledszy, jak z cienkiej, zło-

tej blaszki, podobny do naciągniętego łuku—ble-  
dnie, gaśnie, zamiera...

Wkoło cisza. Słyszać świergot ptaków; od  
czasu do czasu kogut zapieje, lub pies gdzieś  
w dali zawyje...

Zimą za to ciężko wstawać przy lampie.  
W piecu nie napalono; aż dreszcze przechodzą!  
Całe niebo pokryte jakby pokrowcem z szarego,  
grubego płótna. Powietrze ciężkie, jak ołów.  
Oczy wciąż się kleją; kułakiem wycierać je  
trzeba...

— Ale tak bardzo zimno wcale nie jest —  
wstrząsała się nieraz od ранnego chłodu. A ku-  
zynki prześladowały ją, że podług niej zawsze  
jest ciepłutko, jak w lecie; a jabłka, które aż  
usta wykrzywiają — są podług niej słodziutkie,  
jak cukier. I najtrafniej domyślały się, że kie-  
dy do miasteczka za sprawunkami jedzie —  
rozповіда tam wszystkim kumoszkom, jakie  
jej kuzynki z Farjanic są piękne, „gruntownie“  
wykształcone, jak „koncertowo“ grają na forte-  
pianie i jak władają pięcioma językami. Skąd  
ona tych pięć języków naliczyła?

Lecz „ciepłutko“, czy nie ciepłutko — o pią-  
tej nad ranem — trzeba było już się zrywać. Bo  
cóż było robić? Dnia na robotę nie starczyło.  
Całe gospodarstwo spoczywało na jej głowie:  
wydawała śniadanie czeladzi, wydzielala cało-  
dzienny prowiant kucharzowi; a spiżarnia była  
daleko od dworu — musiała brnąć do niej po  
śniegu. Przytem trzewiki nie zawsze były całe;

mały procencik z jej kapitału na ubranie by wystarczył, lecz wuj w kasie pieniędzy nie zawsze posiadał, a upomnieć się o nie — nie lubiła i nie śmiała.

Później w pokojach meble skurzała, kuzynki ubierała, włosy im czesała...

Po południu suknie im szyła, koronki prała, falbanki okrągłym żelazkiem prasowała. Następnie trzeba się było zająć podwieczorkiem, wieczorzą. Tak od rana do nocy.

Cóż dziwnego, że zmęczonej całodzienną orką wypadał z rąk wieczorem „Garbaty” Korzeniowski, „Ułana” Kraszewskiego, a nawet jej ulubione poezje Lenartowicza. I zaledwie głowę do poduszki przyłożyła — kamieniem zasypiała. Dobrze jej było w Farjanicach. Bardzo dobrze.

Nikt jej pracować nie nakazywał; obchodzili się z nią serdecznie, jak z równą; wujostwo jak z córką; kuzynki jak z siostrą; lecz nie chciała darmo jeść u nich chleba; a przecież nie była stworzoną, jak kuzynki, do fortepjanu, lecz do pracy.

Zato kiedy kuzynki jej wyjeżdżały na bale do sąsiedztwa, lub na zabawę do Warszawy — w domu całym nastawała cisza, jakby makiem zasiał; a ona chodziła po cienistym parku, wsłuchiwała się w śpiew ptasząt, patrzyła w niebo, marzyła, jak w zaklętym zamku królowna.

Było jej na świecie tak dobrze, tak dobrze... Składała czerwone, spracowane dłonie i dzięki-

wała Bogu za wszystko: za życie, dające nam rozkosz podziwiania złocistego słońka, słuchania śpiewu ptasząt i napawania się aromatami kwiatów; za opiekę, którą rozłaczał nad sierotą, zsyłając jej w postaci wuja istnego anioła-stróża, bez którego zmarniałaby, jak zdeptany robak, lub pisklę wypadłe z gniazda.

Tak przechodziły dni, miesiące, lata...

W trakcie tym wyszły za mąż obie jej kuzynki. Kapryśne panny przez długi czas przedrwiwały najlepszych konkurentów, grymasiły; aż w końcu nagle zakochały się w dwóch najbliższych sąsiadach, młodzieńcach, których przez całe życie najwięcej niecierpiały, tyranizowały i wyśmiewały.

Pomimo odradzań rodziców i krewnych panny się uparły; sporządzono więc wyprawę (nawet jej sprawiono prześliczną muslinową sukienkę), wyprawiono weseliska, pospraszano mnóstwo gości — aż dom się o mało nie zawalił od rumoru, wrzawy i krętaniny.

A roboty było przy tem — huk! Wreszcie wszystko ucichło.

Boże! Dni wszystkie niby podobne jedne do drugich; dopiero kiedy po pewnym czasie obrócisz się w tył — spostrzegasz, ile one zmian przyniosły.

Jak woda kropelką po kropelce wyżłabia kamienie, tak godzinki powoli, zebrawszy się jedna na drugą — są w stanie obrócić świat do góry nogami.

W Farjanicach wszystko się zmieniło.

Posagi i wyprawy córek zjadły nie mało grosza. Wkrótce też okazało się, że dziedziczne dobra obu zięciów wiszą na włosku, i że, jeżeli nie pospłaca im się koniecznych długów, wylecą z nich, jak z procy.

W Farjanicach nie myślano już o zabawie i o gościach; tylko córki przyjeżdżały z prośbami, płaczem i spazmami. Spazmy były wtedy w modzie.

Rozprawiano o wekslach, wierzycielach i spłatach.

Pan chodził jak bez głowy; pani od rana do nocy fukała służbę i domowników. A nagle dwa nowe bezbarwne podlotki zaczęły zmywać atrament z palców, zarzuciły węgiel, spalony papier i kredę i, jak z gąsienic motyle — przeistaczały się w kształtne, dorodne pannice.

Lustro mówiło im codziennie, że są piękne, apetyt i sen — że są zdrowe; a oczy młodych ludzi dodawały, że młodość i piękność — to siła nielada.

Obchodziły się więc ze swoją kuzynką dumnie, jak królowe; nie odczuwały jej dobroci; wyśmiewały jej staropanięńskie ruchy, zniszczoną kibić i zwiędłą cerę.

Nie brała im tego za złe; były jeszcze tak młode!

Nie dziwiła się też wcale, że wujostwo patrzyło na nią coraz niechętniejszym wzrokiem; szczególnie wujence stanowczo już w niczem

dogodzić nie mogła. Biedacy mieli teraz tyle zmartwień i kłopotów!

Nie dziwiła się więc, kiedy wujenka przywołała ją pewnego dnia do swego pokoju na poufną rozmowę i wytłómaczyła, że jej nie będą w stanie dłużej trzymać w domu, ponieważ dwa folwarki z klucza farjańskiego zostaną sprzedane na umorzenie długów zięciowskich; część służby wydalona; dom zmniejszony. Lecz jeżeli tylko nie wątpi o ich życzliwości i rad usłucha, będzie miała zapewniony byt i spokój na całe życie. Optymistka, nie słuchając końca, rzuciła się wujence do nóg i oświadczyła z płaczem i łkaniem, że nigdy nie przestanie im być wdzięczną za ich dobroć; że, doświadczwszy tyle łask i dowodów uczucia, nie może wątpić o ich życzliwości. Z góry zgadza się na wszystko, co postanowili i z wdzięcznością posłuszną będzie ich rozkazom i radom.

Wtedy wujenka, ucałowawszy ją, oświadczyła, że nosi się oddawna ze świetną myślą w głowie; uskutecznienie tej myśli od zainteresowanej tylko będzie zależało. Krótko mówiąc wujenka ukartowała dla niej mariaż. Dowiedziała się, że rządcą dóbr, pan Żłobikiewicz, bezdzietny wdowiec, poszukuje żony; nielada honorem dla niego będzie — należeć do ich rodziny, i, jeśli tylko palcem kiwną — zaślubi ją bezwątpienia.

Sierota powtórzyła, że spełni wszystkie rozkazy wujostwa i że będzie pogodzoną z losem, jaki jej łaskawie przeznaczą.



Pogadanka była skończona. Wyszła z pokoju z pochyłą głową i z zaczerwienionemi od płaczu oczami.

Pan Żłobikiewicz, chłop barczysty, pięćdziesiątką lat trochę zgarbiony zbyt ponętym nie był. Nos miał czerwony, zdradzający gust do spirytualji, głowę — łysą jak kolano, brodę raz na tydzień goloną, wąż — szpakowaty, twardy jak szczotka, zawiesisty, jak na rządcę folwarcznego przystało.

Głos jego donośny, ochrypły, ekonomski rozlegał się od świtu po stajniach, spichrzach i oborach. Niepodobny do śpiewu serenadującego trubadura dochodził od wielu lat do okna jej pokoju; budził ją rankiem ze snu; wieczorem — usypiał.

Doniesiono im, że z pierwszą żoną obchodził się niedobrze; lecz mogło to być plotką, lub winą nieboszczki. Szeptano o sprowadzanych z miasteczka kolekcjach araku i wódki; lecz któryż mężczyzna nie pije? A ideału ze świecą nie znajdziesz na świecie.

Zręcznie podsuniętą myśl o małżeństwie — przyjął bardzo skwapliwie. Zapraszano go od-tąd codziennie na wieczerze.

Przychodził w zbyt ciasnym, źle skrojonym tużurku. Przy pomocy chleba zmiatał z góra nałożone talerze tak skrętnie, że myć by już ich nie było trzeba. Mówił niewiele; chyba, że kto kichnął: życzył mu wtedy sto lat zdrowia. Na nią prawie nie patrzył; prawda, że miała zaję-

cia bardzo wiele i wciąż do kuchni wybiegała. Pocił się okropnie; arak do herbaty wlewał, jak wodę.

A kuzynki, spoglądając na nią i na niego, co chwilę wybuchały źle powstrzymywanym śmiechem.

Kilka tygodni przeleciało, jak błyskawica. Wyprawa jej była już sporządzona. Poczciwa wujenka własnymi rękami pomagała jej w pracy. Dzień ślubu był naznaczonym.

Tak się to wszystko dziwnie jakoś odbyło! Dzień był pochmurny; deszcz lał, jak z cebra. Gości obcych nie proszono; nawet wujenka nie mogła jechać do kościoła, bo droga była okropna, pełna wybojów kilkotygodniowego błota, zalana strugami deszczowej wody, jak po potopie.

Przyjechali zbyt wcześnie. Ksiądz spał jeszcze po obiedzie. Pijany zakrystjan świecił w kościele nie pozapalał. Z trudem brnąc po błocie, przedostali się pod parasolami z zakrystji do kościoła. Wszyscy się czegoś śpieszyli. Ksiądz zaspany mówił prędko i niewyraźnie, jak przez sen.

W kościółku zimno było, pusto i głucho. Najciekawsze nawet kumoszki wskutek niepogody, pozostawały w domach. Tylko wydłużone z ciekawości głowy kilku wyrostków, zmoczonych do nitki, i jakiejś bosej dziewczyny z braciszkiem na rękę, sterczały zdala na ciemnem tle świąty-



ni. Dzieciak darł się w niebogłosy, aż go z kościoła musiano wyprowadzić.

Organista prawie nie mógł śpiewać — tak mu czkawka przeszkadzała. Ksiądz, ziewając, łączył ich stulą; zepsute organy brzmiały, jak stara katarynka. Deszcz bił o szyby; a po za jej plecami drużbowie i drużki — kuzynki, chichotali i dowcipkowali.

Powrócili do domu. Wujostwo prześlicznie urządzili im mieszkanko na folwarku. Pobielono belkowane sufity; pozawieszano przy naprawionych świeżo oknach nowiutkie perkalikowe firanki. Niektóre meble zakupiono trafunkiem w Radomiu; niektóre przeniesiono z jej panieńskiej izdebki, ze strychu i z gościnnych pokoiów.

Tylko nie dało się zakryć błotnistej czarnej ziemi, wyglądającej ze szczelin zepsutej podłogi i plam na ścianach, zdradzających wilgoć. Nie było też rady na uciszenie much, hałaśliwie brzęczących ponad sufitem i u szybek okien.

W saloniku na stole leżały szydełkowa serweta — roboty wujenki i dwie patarafka roboty kuzynek. Przy oknie stała nowiutka maszyna do szycia — podarunek ślubny wuja.

Mąż obchodził się z nią dobrze, choć wyznał jej w przystępie dobrego humoru nazajutrz po ślubie, że wprawdzie wiedział, że zbyt piękną nie była, lecz nigdy nie sądził, aby wujenka tak źle ją odżywiała. — A, dyć na tobie sama skóra i kości — kończył ze śmiechem.

Nie mówił tego ze złego serca; ot — wyrwało mu się... człowiek prosty w dowcipach nie przebiera.

Starąła mu się dogadzać, jak mogła. Wsłuchiwała się w szmer zbliżających się jego kroków; skakała, jak to mówią, przed nim na palcach. Chodziło jej o to, aby tylko nie podnosił swego ekonomskiego głosu, przed którym drżała, którego nie znosiła i bała się.

A on krzyczał, wymyślał i kłął o lada drobnostkę; już miał takie przyzwyczajenie. Pojmowała dobrze, że nie należał do jej „parafji”. nie odebrał jej wychowania, a i naturę — trudno! miał już trochę gburowatą.

Gdybyż jedynie te wady tylko posiadał! Lecz najgorzej, że pił, pił coraz więcej; a wtedy wyprawiał sceny, z jakich żadna żona nie powinna się przed nikim wywnętrzać, ani ich pamiętać. Powierza się wtedy smutek Bogu, cierpi się i przebacza. Oczywiście, że z tych małżeńskich nieporozumień nikomu się nie zwierzała. A przed kuzynkami wiecznie wysławiała delikatność, szlachetność i wyrozumiałość idealnego męża, który na palcach przed nią chodzi, jak przed jaką księżniczką. Kuzynki przez delikatność udawały, że wierzą w jej błagi, choć wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi. A i ona sama nie zastanawiała się nigdy nad tem, czy wierzyła sama w swoje błagi. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że blaguje. Bo na badanie własnej jaźni trzeba mieć wiele wolnego czasu. Tak, bar-

dzo wiele wolnego czasu; jeśli już nie śród dnia, to choćby śród bezsennych nocy. A ona zaharowana całodzienną orką — ledwie wieczorem głowę do poduszki przyłożyła — kamieniem twardego spała, jak zabita, aż do świtu. Kiedyż by więc miała badać własną duszę?

Wogóle jednak czuła się szczęśliwą. Wprawdzie i u wujostwa było jej bardzo dobrze; lecz tu, choć musiała odliczać każdą łyżkę strawy, jaką do ust brała, a kącik jej był biedny i ciasnny, lecz był jej własny; a mąż, choćby z zupełnie innej gliny stworzony, zawsze jest mężem.

A cóżby się z nią było stało, gdyby za mąż była nie poszła? Majątek wujostwa znajduje się w coraz więcej opłakanym stanie.

Nie mogli by wiecznie żywić u siebie zawalidrogi. Zmarniałyby pod płotem.

Wkrótce Bóg miłosierny nową radość miał jej z nieba zesłać: narodziło im się dziecko, córeczka.

Marne to było chuchro i wątle od urodzenia. Ciało — miało skrufuliczne; powieki u oczek wiecznie zaczerwienione, włosy rzadkie, nóżki cienkie i krzywe — ot — jak zwykle dziecko pijaka.

Lecz kiedy się do niej uśmiechnęło i rączki wyciągnęło — dusza o mało z niej nie wyskakiwała.

Boże! Czyż kobieta może zaznać większej rozkoszy na świecie? Jakżeż ona tę dziecinę

kochała, jakżeż ją kochała! Prawie tak, jak Boga.

Dawniej nieraz zadawała sobie pytanie: na co Stwórca dał jej życie? Teraz pojęła: na to, aby wychowała to dziecko. Gdyby kamienie aż do grobu gryźć miała i łzami się poila, jeżeli zdoła zapewnić szczęście swemu dziecku — nie będzie się żaliła; będzie szczęśliwą.

W domu czekały ją nowe troski i umartwienia.

Wujostwo byli dla niej zawsze jednakowo uprzejmi; zapraszali ją, jako krewną i kuzynkę do pałacu, odwiedzali ją nieraz w mieszkanku, pieścili jej dziecinę i obrzucali ją małemi podarkami; lecz ona chętnie te dowody łaski przełatywała na męża, którego oni od dnia ślubu traktowali grzecznie, lecz zimno, jak obcego. A on zgrzytał zębami z tego powodu; często pieniał się, w szal prawie wpadał.

Liczył, że będzie zawsze bywał we dworze, że jadać tam będzie wieczerze, dziedzica klepać po ramieniu, a dziedziczkę nazywać będzie kuzynką. Uważał się za oszukanego. Sądził, że z niego zadrwiono. Pozostał dla nich wszystkich jednakowo potulnym, nisko kłaniającym się i nieśmiałym; lecz kiedy odeszli, wyprawiał żonie sceny; groził, że „jak psa wyszczuje ze swego domu tę marną hołotę”. Zabronił jej chodzić do dworu. Twierdził, że wolałby ożenić się z córką szubienicznika, niż pojąć za żonę starą dziewczkę z tego podłego gniazda — kryminali-

stów, tak — kryminalistów. Ho, ho! gdyby on tylko chciał... Zna on pewne sprawy dziedzica, tego wydrwigrosza, okpiwacza chłopów.

— Do kryminału z nimi, do kryminału! — wykrzykiwał, zapijając jeden kieliszek wódki za drugim.

Cóż ona biedna miała na to zaradzić? Ona ich kochała. Bolały ją te wszystkie niesłuszne zarzuty, które jej ciskał w twarz na ludzi, związanych z nią wspomnieniami, krwią i zaciągniętymi długami wdzięczności. Lecz, z obawy, aby nie wyflukał jej wszystkich talerzy, nie rozwałił mebli i nie sprawiał jej przed służbą i ludźmi wstydu swoim ekonomicznym, daleko rozlegającym się wrzaskiem — dusiła łzy w sobie, nie broniąc ich ani słowem.

Milczenie jej jednak podniecało jego gniew. Znęcał się nad tą arystokratką herbu „golizna“, która do śmierci obgryzała by kości w kuchni swoich krewnych, gdyby on, prosty chłop, z łaski nie pojął jej był za żonę i przy swoim piecu nie odżywiał i nie odkarmił.

Podobne sceny powtarzały się coraz częściej. Aż wreszcie pewnego dnia po powrocie z pola — siny i więcej trząsący się, niż zwykle, oświadczył jej z wrzaskiem i hałasem (dziedzic sfukał go podobno niesłusznie wobec chłopstwa i czeladzi. Rzecz szła o nieskoszenie siana, czy też o niezajęcie fernalskich gęsi na dworskim gruncie), że albo, jak psa zabije tego złodzieja dziedzica, albo ani chwili dłużej w Farjanicach nie



pozostanie. Doskonale! Uchwyciła się tego postanowienia i zdecydowała, że rzeczywiście najlepiej się stanie, jeśli Farjanice raz już opuszcza.

Przecież mąż jej oddawna już utyskuje na zdrowie, sterane wskutek zbytku uciążliwej pracy; a i ona dość już ma tych niesnasek, które jej wstyd przed ludźmi przynoszą. Faktor oddawna stręczy im małą okoliczną dzierżawę. Warunki bardzo dogodne. Niech raz już koniec będzie... Pójdzie do wuja, podziękuje mu w imieniu męża za miejsce i upomni się o sumkę, ulokowaną na hipotece, wystarczającą na wzięcie owej dzierżawy. Upominała tylko męża, aby nie irytował się i zdrowia sobie nie niszczył; niech nie zapomina, że ma dziecko, o którego przyszłości należy pamiętać.

Rada ta, wypowiedziana głosem łagodnym, trafiła mu do przekonania; uspokoiła go.

Rozkazał jej natychmiast udać się do dziedzica i zakończyć sprawę, jak postanowiła.

Spełniła jego żądanie; poszła do wujostwa.

Wuj tłumaczył jej, że życzenie Żłobikiewicza spełni; lecz niechaj się zatrzymają do chwili wynalezienia zastępcy. Co się tyczy sumki — ta wprawdzie powinna była być oddawna jej wypłaconą, lecz obecnie nieprzygotowany — nie może tak nagle spełnić jej żądania, ponieważ pieniędzy w kasie nie ma i przed upływem trzech miesięcy mieć ich nie będzie.

Kiedy przyszła z tą odpowiedzią do domu, mąż jej o mało ze skóry nie wyskoczył; zapienił

się cały, zesiniał, a z ust, jak grzmoty, wylały mu słowa:

— Złodzieje, oszusty, komornik, zniszczę, straduję!

I z nazbieraną oddawną goryczą — biegł, jak szalony do dworu.

Po chwili na folwarczku u niej zjawiły się zdyszane, przelekłe kuzynki i z płaczem opowiadały jej o scenach, jakie pan Żłobikiewicz wyprawia u nich we dworze; jak krzyczy, aż się zbiegła cała służba, a mama aż spazmów dostała.

Przyszły błagać ją w imieniu rodziców, aby nie dawała mężowi plenipotencji do dalszego działania w tej sprawie; lecz aby cierpliwie czekała przez kilka miesięcy, gdyż zwrot owej sumy w danej chwili byłby ostateczną ruiną dla ich rodziców.

Odpowiedziała, że nie jest w stanie uczynić zadość prośbie wujostwa; że musi spełniać żądanie swego męża, i że każde życzenie ojca jej dziecka jest dla niej rozkazem.

Rzeczywiście oddała nazajutrz piśmienne pełnomocnictwo mężowi, a po chwili dojrzała przez okno, jak mąż jej wraz z wujem wsiadali do bryki i ruszyli drogą ku miasteczku — do kancelarii rejenta.

Wuj pod pachą trzymał safjanowe pudełko. Poznała je odrazu: leżały w nim wiezione na sprzedaż perły z fermoir'em z brylantów i szmaragdów — ulubiony stary naszyjnik wujenki.

Pieniądze co do grosza odebrali. Kontrakt na dzierżawę Kromołowa był już podpisany, lecz stosunki ze dworem były najzupełniej zerwane. Rozkoszne i wesołe panienki nie przychodziły już bujać na rękach jej dziecinkę; ogrodnik nie przynosił już z sadu warzywa i owoców.

Poodsyłało jej wszystkie drobne upominki, jakie na gwiazdkę i imieniny sporządzała im własnoręcznie; a wujenka i panny, spotkawszy ją idącą z dzieckiem drogą do lasu — odwróciły się.

Wkrótce zjawił się nowy rządca i upomniał się o mieszkanie. Spakowali rzeczy, wyruszyli w drogę.

Kiedy nad ranem z okna wagonu trzeciej klasy rzuciła okiem na pusty peron i na het, zdała, rozkładające się wśród drzew za rzeczką — Farjanice, w których znała każdą gęstwinę, każdy krzew, kamiuszczek mały, w których tyle lat przebyła, tyloma wspomnieniami była związana; kiedy z drugiej strony spojrzała na wnętrze wagonu, na ospale chrapiącego, obcego jej niedawno człowieka i kiedy pomyślała, że porzuciła dla niego wszystkich i wszystko i że u jego boku będzie zmuszoną spędzić całe życie — wstrząsnęła się cała z trwogi; dreszcz przebiegł po ciele, a za serce dziwnie ją coś ścisnęło.

W tej chwili zwolna wagon ciężko ruszył; świst pary przeraźliwie rozpruł powietrze, a po za jej plecami rozległ się strwożony głosik:

— Mamol



Z całej siły przycisnęła do piersi córkę, a z ust jej wybiegły słowa:

— Wszystko — głupstwo! To, to — jest życie i świat mój cały.

Rozglądając się na wszystkie strony, wjeżdżali trzęsącą się bryczką do Kromołowa. Minawszy bramę z pogiętym zardzewiałym herbem, przedśmiertnie drgającą na pozostałej jedynej zawiasie i aleję, w której z dawnego szpaleru gdzieniegdzie tylko pozostały nieskradzione jeszcze wielkie donice pysznych drzew pomarańczy — stanęli przed pałacem z kamiennym na pół zawałonym tarasem, pokrytym w głębiach i szczelinach zielskiem, chwastem i mchami.

Dziedzic Kromołowa dla poratowania zdrowia, oddawna zjadał wraz z rodziną resztki fortuny we Włoszech.

Ostatni dzierżawca niedawno zakupił był majątek ziemski w okolicy; przyjęto więc pana Żłobikiewicza, a raczej jego dwa tysiące — z otwartymi rękami.

Z sali na spotkanie przybyłych, przybiegła charcica, z dużymi pięknymi oczami, zgrabniutka, na cieniutkich nóżkach, wypadła z łask ex-faworytka jaśnie pani i, wyniszczona, z widniejącymi z pod żółtej sierści żeberkami, wzruszona, nerwowem wyciem, przyjęła gości. (Arystokratka chłopstwa nienawidziła i, choć głód cierpiała, nie łąsiła się do hołoty!).

Na drzewach kilku wyrostków obdzierało dla przepędzenia czasu korę z gałęzi akacji, a kilka dziewcząt wrywało zwoje bluszczu i dzikiego wina, wijącego się po zapadających się kolumnach ganku pałacowego. Za płotem, jak makówki, lub piwonje—sterczały owiązane czerwonymi chustkami głowy bab wiejskich, dziewcząt i pyzatyh bębnow.

Zrezygnowane dwa brytany, wychudłe, z popuszczonemi ogonami, przypatrywały się obojętnie, z zamglonem okiem, jak gdyby mówiły: Wszystko to już było!

Żłobikiewicz podniósł się na bryczce i powitał obecnych grzmołem wymysłów, złorzeczeń i przekleństw obszernego swego ekonomskiego repertuaru.

Głos jego tubalny rozlegał się po pustkowiu — aż się wrota wjazdowe zawaliły z ostatnim herbem; a charcica spazmów dostała.

Ona w trakcie tym rozpakowywała już kufry w pokoju.

Izby były ogromne ze sklepieniami; małe ich mebelki ginęły w nich, jak w lesie.

Smutno i ponuro było w tem pustkowiu z ogromnemi schodami, z niezliczoną liczbą pustych, odrapanych salonów, korytarzy, większych i mniejszych izb, z kaplicą, prawie w gruzach leżącą i z ogromnym parkiem, ciemnym, zarosłym i opuszczonym.

Nie smuciła się tem wcale. Tu czy owdzie — wszystko jej było jedno! Wyrosła już z tych

lat, kiedy przywiązywała się do miejsca i do ludzi. Oby tylko dach mieć nad głową, kęs chleba do ust, na wety — uśmiech i szczebiot dziecka, a do poduszki — spokój, aby mózdz snuć marzenie o przyszłości i dalszych losach córki — więcej niczego nie pragnie i wdzięczna za życie, będzie składała codzienne dzięki aniołom świętym i Bogu.

Rozgościli się w Kromoławie. A dni, jak motek nieopatrznie rzuconej bawełny w pręgi jasne, ciemniejsze i czarne wciąż wiły się i wiły...

Kłopoty i troski nie pozostały w Farjaniach. Szaleństwem jest żądać tego; jak zwykle wraz z dniami płyną te wierne towarzyszki nieodłącznie za nami...

Mieli ich też wiele, bardzo wiele... Okazało się, że spichrze i stodoły kromoławskie były dziurawe, inwentarz wyniszczony; jęczmień nigdy się nie rodził; łąki były mokre, a robotnik — drogi. Jednego roku grad im wybił wszystko w polu; następnego — wszystko wyschło!

Mąż jej wprawdzie nie krzyczał, jak dawniej; lecz sapał, spadł z ciała, garbił się, a troski najmniejsze — zapijał. W kieszeni nosił z sobą flaszkę wódki, z którą nie rozstawał się.

Pewnego dnia, wróciwszy z pola, zatoczył się na fotel. Ręce mu się trzęsły; twarz miał całą w fałdach fioletową; żony nie poznawał; na usta piana mu wystąpiła...

Przestraszona, wysłała konie do miasteczka po doktora. Lekarz nazwał tę chorobę dziwnie...

Nie pamięta już dobrze: delirium tremens, czy coś podobnego...

Po kilku dniach chory powstał wprawdzie z łóżka, lecz nigdy już nie podnosił głosu; stał się spokojnym, jak dziecko; ręce trzęsły mu się. Nie mógł już dosiąść konia; wyjeżdżał w pole bryką.

Nie był to już ten sam człowiek. Dozorował pracę automatycznie. Ekonom go okradał; żniwa rozpoczynał za późno; siano w pokosach mokoło na łące; a spichrze i stodoły waliły się.

Była pewną jednak, że stan zdrowia jego odmieni się. Nie przypuszczała ani na chwilę, aby choroba ta mogła być groźną. Bóg, który zesłał jej dziecinę, nie pozbawiał by jej przecież ojca karmiciela? Cóżby bowiem w razie takiego nieszczęścia uczyniła? Nie, nie, to się nigdy nie stanie...

Ataki się wciąż powtarzały. Pewnego razu twarz jego z fioletowej stała się zieloną. Oczy dziwnie wylupił; usta mu się skrzywiły; język poszedł w bok; przez chwilę dziwnie coś bełkotał; potem, jak szalony, zerwał się z łóżka. Oczy krwią mu zasłży; głos dawną siłę odzyskał. Bezprzytomnie rzucając się po pokoju, krzyczał rozpaczliwie, że „szczury i myszy go rozszarpia, że ten nikczemny dziedzic z Farjanic ściga go”...

— Uwolnijcie mnie od nich... szczury, myszy...  
— biadał bez związku rozdzierającym głosem; wreszcie padł na posłanie. Zacisnął zęby; ręce mu zesztynniały, zimny pot na czoło wystąpił.

I, zanim sprowadzono ze wsi księdza, nie poznając żony i nie ucałowawszy dziecka, ducha wyzionął.

Oszołomiona, z nabrzmiałemi żyłami u czoła, z nerwowem drganiem twarzy, bez jednej łzy w oku, pamiętając o najmniejszej drobnostce, zajęła się skrzętnie przygotowywaniem pogrzebu.

Zamówiła księdza, obstałowała trumnę; ubrała zmarłego w ów czarny, zbyt ciasny tużurek, w którym konkurował za życia o nią; wdziała mu z trudem na skostniałe, sine ręce białe rękawiczki; wetknęła krzyżyk w dłonie, obszyła swoją czarną starą sukienkę białą tasiemką. I zanim ksiądz przybył i zajechał przed pałac drabiniastry, sianem usłany wóz, mający odwieźć ciało nieboszczyka do grobu — wszystko, jak należy było już przygotowane; nawet wieńce na mogiłę uwite, i dziecinka w świeżo uszytą, czarną sukienkę ubrana.

Ani jedna łza z oczu jej nie popłynęła; na sercu czuła — jak gdyby kamienie; w koło niej nie było nikogo, nikogo...

Po powrocie z pogrzebu, zastała w domu przybyłego z miasteczka plenipotentą dziedzica dóbr Kromołowa, który z pliką papierów, dokumentami, prawnymi paragrafami, dowiódł jej czarnem na białem, że termin ukończenia kontraktu dzierżawnego ma się już ku schyłkowi; że z owych dwóch tysięcy właściwie nie powinna złamanego grosza już otrzymać, że atoli nadarza się kandydat na kupno Kromołowa. Więc wypła-

ca jej tytułem gratyfikacji trzysta rubli, jeżeli zdecyduje się dobrowolnie natychmiast opuścić swoją siedzibę.

Przystąpiła na tę umowę; zobowiązała się piśmiennie w ciągu tygodnia wyjechać z Kromołowa. Plenipotent wypłacił jej trzysta rubli, ukłonił się, wyszedł...

Rozejrzała się dokoła: W ręku trzymała trzysta rubli; przy niej siedziało dziecko — ot i wszystko, co posiadała. A przed nią życie długie, jak wieki, i świat ludny, jak mrowisko...

Błędnie powiodła oczami po pustych ścianach. Była samą, samą nietylko w tym pokoju, lecz na całym świecie... Jakiś strach ją przejął... przycisnęła dziecko do piersi i wybuchła głośnym, rozdzierającym płaczem.

To jej ulgę przyniosło.

— Pracować będę — szeptała — rozbiję mury głową; a dziecko moje nigdy nie zazna głodu.

Napisała rozpaczliwe listy do wujostwa i do kuzynek. Zaklinała na wszystkie świętości, aby zapomnieli o dawnym żalu; przysięgała, że żebraczką nigdy nie będzie, że gdyby pod płotem miała zmarnieć z głodu — nie zażąda od nich szeląga. Lecz jest samą jak kołek, pragnie przebaczenia, życzliwego słówka zachęty, pociechy; czuje się bardzo nieszczęśliwą...

Przy pisaniu listów na nowo się spłakała. Oczekiwała odpowiedzi z drzeniem; odpowiedź jednak nie nadeszła i nigdy nadejść nie miała.

W wagonie, w którym zbliżała się ku War-



szawie, zapoznała się z pewną tłustą jejmością. Dama bezustanku obcierała sobie pot, spływający z czoła po błyszczących policzkach; drugą niestrudzenie wyjmowała z podręcznej podróżnej torby przysmaczki: pierniki, gruszki, śliwki, któremi przez całą drogę się raczyła.

W końcu poczęstowała też czerwonym karmelkiem dziecinę Żłobikiewiczowej. Pocziwa babina! Wiedziona zapewne nie ciekawością, lecz dobrocią serca, przypatrując się żałobnym obszywkom ich sukien, zapytała z zaciekawieniem i życzliwością:

— Pani dobrodziejka zapewne opłakuje stratę męża? Czy wiele dzieciąt pozostało? A ile lattek liczy ta piękna sierotka, dokąd panie jadą i co zamierzają czynić?

Wzruszona tem zainteresowaniem się jej losami i uszczęśliwiona, iż spotkała nakoniec żywego ducha, przed którym będzie mogła wywnętrzyć się z nagromadzonego nawału cierpień — wdowa wypowiedała się przed tłustą jejmością ze wszystkiego, jak przed księdzem.

Opowiedziała jej o stracie idealnego męża, o zerwaniu stosunków z całą rodziną idealnie dobrą. Oczywiście nie obyło się bez panegiryków na cześć wujenki i kuzynek, grających koncertowo na fortepianie i znających sześć języków. Opowiedziała o przebiegu sprawy z Kromołowem, o trzystu rublach i o przeniesieniu się do Warszawy w zamiarze utrzymywania się z szycia i haftu bielizny.

— Pragnę nie umrzeć z głodu; niczego więcej — kończyła, ocierając chustką oczy.

Tłusta jejmość, wzdychając i ocierając łzy, które co prawda wcale nie płynęły, oświadczyła, że posiada niezajęty sklep z pokojem w swojej kamieniczce na Podwału, który za 200 rubli rocznie gotowa jej odstąpić. Jest pewną, że Bóg jej za to dobrodziejstwo w niebie wynagrodzi. Nie wątpi też, że dostarczy jej mnóstwo klientek; bo jako obywatelka, jest w całej dzielnicy bardzo poważaną i posiada liczne stosunki i znajomości.

Wdowa o mało nie rzuciła jej się do nóg. Ależ naturalnie, na te warunki przystaje i wdzięczną jej będzie do grobowej deski. A tak się bała wielkiego miasta, hotelu, nieznanym ludzi!

Na cóż wylewała tyle łez w tym czasie? Przecież Bóg zsyła nam troski jedynie, aby nas wypróbować i siły hartować!

Czyż ta nagła niespodziewana pomoc w osobie tej zacnej nieznajomej — w samej drodze podczas tułaczki do obcego miasta — nie jest zesłaną przez Boga? Istny cud, cud doprawdy!

I zanim pociąg stanął, sprawa o mieszkanie i kwestja dalszego urzãdzenia się w Warszawie były załatwione.

Sklepił ten, sporządzony z dawnej sieni, co-prawda był marny.

Dowiedziała się później, że od trzech lat stał pustkowiem. Przez sufit deszcz przelewał się, jak przez sito; aż w podłodze wyżyłbił szczeliny.



Niedawno postawiony żelazny piecyk okopcał i odymiał, nigdy nie ogrzewał.

Lecz pani gospodyni dotrzymała słowa: Biegała od domu do domu, zachwalając swoją lokatorkę „wdowę po obywatelu ziemskim z domu hrabiankę, która uczyła się szyć i haftować w Paryżu dla przyjemności, a dziś z dzieckiem umiera z głodu“.

Może gorliwość ta miała na celu zapewnienie przyszłego komornego, lecz faktem było, że ciekawione kumoszki zbiegały jedna za drugą ze sprawunkami do sklepiku „wdowy po obywatelu, hrabianki, kształcącej się w Paryżu“.

Sklepik był przepełniony. Najęła kilka pańien, zakupiła drugą maszynę do szycia. Sama nie pojmowała, jak się to wszystko tak nagle stało; zkaąd tak grzecznie klientki potrafiła bawić, gdzie nauczyła się załatwiać z robotnicami, obstalunkami, kupcami? Jak jej starczyło czasu na prowadzenie rachunków, sprzedaż w sklepie, na strofowanie chichoczących i baraszkujących podczas jej nieobecności pańien pracownic i na przyrządzania dla nich i dziecka obiadu?

Tak jeden dzień przechodził za drugim. Obstalunków był huk; przyszłe komorne zapłaczone, a dziecinka w nowej sukience bawiła się u stóp jej.

Wieczorem strudzona, nie czując nóg ze zmęczenia ręce do modłów składała i z szeptem: „Dzięki Bogu, dzięki Bogu“, zasypiała.

Klientki jej, które co prawda niemiłosiernie

nudziły ją o każdą langietkę i targowały się godzinami o każdy grosz, po za tem były dla niej serdeczne i przyjacielskie.

Posłuszna ich radom, obstałowała konieczne według ich zapewnień mebelki, kryte czerwonym aksamitem, szafę oszkloną i lustro rzeźbione, które miała spłacać ratami; zakupiła też wielką szybę do okna sklepowego i zawiesiła pyszny szyld złożony, zredagowany przez uprzejme klientki, brzmiący: „*Sophie Żłobikiewicz au bon marché*”; a wystawę zaopatrzyła w mnóstwo strojnych *kapotek*, *neglizyków*, *sauts du lit* i *peignoirów*.

Pewnego razu zajechała przed sklep „prelotka“, zaprzężona w trzy „rysaki“, a z niego wysiadła dama w czerwonej sukni z jaskrawymi piórami u kapelusza i, oświadczając, iż jest żoną jakiegoś wysokiego urzędnika, przybyłego niedawno z Petersburga, zakupiła mnóstwo najdroższych haftów i koronek, nakazując odesłać je do zamku.

Kiedy po kilku dniach powtórnie nadesłano damie rachunek, wynoszący przeszło dwieście rubli, dowiedziała się, że państwo przewiezieni zostali na stałą posadę do Samary, a jej pieniądze należy uważać za stracone. Ta strata kilkuset rubli była początkiem jej ruiny. Nie śmiała o te pieniądze dopominać się u moskiewskich władz. Obawiała się cytadeli.

A w trakcie tym i klientela znacznie zmniejszyła się; bo panie, dowiedziawszy się, że na

drugim końcu miasta pojawiła się szwalnia, podobno lepsza i tańsza, nie zważając na koszt drożek, lub zdzieranie bucików i stratę czasu, (z którym co prawda — nie wiedziały — co robić) gremjalnie przeniosły się do tamtej.

Kupiec nie zgodził się na przedłużanie jej kredytu; a kiedy pewnego razu nie zapłaciła komornego, przez kilka dni „po pierwszym”, spostrzegła zdziwiona kartę, zawieszoną na bramie, informującą, że sklep jej jest do wynajęcie od kwartału.

Pobiegła do gospodyni: Zdumiona, dowiedziała się, że sklep został już najętym na korzystniejszych warunkach przez rzeźnika z sąsiedniej ulicy.

Płakała, usprawiedliwiając się, że wiele pań nie popłaciło jej jeszcze rachunków; błagała, aby nie wydalali jej na najlepszy zbliżający się sezon; nic nie pomogło...

A ruch w magazyniku coraz się zmniejszał. Oddaliła kilka panien; kupcy upominali się o spłatę długów; gospodyni groziła po tygodniu, że ją na bruk wyrzuci. Stolarz zabrał jej i te czerwone aksamitne meble i lustro rzeźbione i szafę oszkloną...

Ach! żyć jest trudno; chleb jest bardzo gorzki! Nigdy jeszcze tylu trosk nie miała. Ten chaos, ta niepewność ją dobijały!

Drobna, niska, szczupła, stała się podobną do kawałka cienkiego, pogiętego patyka, z któ-

rego wiatr pozrywał liście, który burza zrzuciła z drzewa, a znojny skwar wysuszył. Resztki włosów jej posiwiały; a twarzyczka z wystającemi policzkami, ze zmrużonemi od zmęczenia oczami żółkła i wyschła, jak wyciśnięta cytryna.

Porzuciła ów fałszywy blichtr, jaskrawe aksamitne meble i złożone litery szyldu i, pozostawiwszy sobie kilka poduszek pod głowę, łóżko, stół i jedyną maszynę do szycia, przeniosła się z dzieciną do sąsiedniego domu.

W podwórzu wynajęła małą, ciemną izdebkę. Nie miała już na głowie kupców, komornego, stolarzy; kilka wiernych klientek jej pozostało; pracowała od rana do nocy. Czuła się spokojniejszą, szczęśliwą.

Wieczorami z elementarza z kolorowanemi obrazkami uczyła czytać swoją córkę. Czyż królowe mogą posiadać większą nad tę rozrywkę?

Cały tydzień przechodził w pracy, aż krzyż ją bolał od ciągłego pochylania się; a nogi drętwiały od bezustannego poruszania koła maszyny; lecz pieniądze na komorne były regularnie odkładane, drzewo na zimę zakupione, a córeczka dostatnio ubrana i obuta.

W niedzielę latem, chodziły do kościoła; po obiedzie do Ogrodu Botanicznego i do Łazienek. Ona w wytartym czarnym szalu, dziewczynka

w nowiułkiej niebieskiej sukience. Przypatrywały się przejeżdżającym powozom, wstępowały na kawę do mleczarni; schodziły do Łazienek karmić łabędzie i tramwajem wracały do domu. W drodze, odurzona wieczornem letniem powietrzem, przypatrywała się z rozkoszą śpiącemu dziecku, które zmęczoną główkę tuliło do jej piersi. Jakieś niewypowiedziane szczęście ogarniało ją całą; uśmiechała się sama do siebie swobodnie, jakby zrzuciła z siebie wszystkie lata trosk i cierpień; jakgdyby oczekiwał ją w domu mąż opiekun, który odtąd zawsze pamiętać będzie o przyszłości jej dziecka. Czuła się silną, niezmęczoną, młodą i zdrową i, spoglądając na niebo, usiane miljonem srebrzystych gwiazd, na złoty księżyc, wykradający się z po za przejrzystych obłoków i świecący jednakowo dla wszystkich — składała ręce ku niebu i, wciągając w piersi balsamiczną woń powietrza, łechtana wietrzykiem, udzielającym łaskawie zapachów letniego wieczoru lada komu, nawet ostatniemu nędzarzowi—szeptała z uśmiechem małej dziewczynki:

— Boże! Dzięki Ci i za to. Mogło być być i gorzej.

A dni płynęły swoją drogą wciąż dalej, jak w ruczaju: to równo po piasku, po mętach, to burzliwiej po kamieniach...

Maszyna raz się zepsuła, raz córeczka zbrukała na nic nowiułką sukienkę; lampa się raz stłukła — ot — jak zwykle w życiu, które nie



jest ani trochę podobnem do ładnie napisanego romansu, lub powieści.

Atoli jednego dnia spostrzegła, że dziecina jej osłabła; nie je, pokłada się na siedzeniu...

Dotknęła jej czoła i z przerażeniem uczuła, że główka, jak ogień, rozpalona. Pobiegła do doktora... Przybyły lekarz kazał dziecko położyć do łóżka; nazajutrz skonstatował odrę, która przeszła w ospę, w końcu w szkarlatynę.

Choroba dziecka, niezwykle ciężka, trwała przeszło przez pięć tygodni. Lekarz przychodził codziennie. Przez cały przeciąg tego czasu nie spała ani jednej nocy, nie zgotowała dla siebie łyżki strawy. Żaden urzędnik w biurze, ani robotnicarz, ani żołnierz na wojnie nie przeżyli w życiu tak strasznych pięciu tygodni, jak ona. Cud Boski — że nie padła ze zmęczenia. Palce u rąk tak jej wychudły, że spadała z nich obrączka ślubna, choć ją na wszystkie strony zginała. Piers jej stała się płaską i wąską, jak u małego pisklęcia; oczy jej zapadły; na nogach ledwie się trzymała; lecz córka była ocaloną.

Nie troszczyła się już o to, że ta nieszczęsna choroba zrujnowała ją; że przez cały ten czas złamanego szeląga nie zarobiła. Odłożone na komorne pieniądze zabrał doktor i aptekarz. Nie dręczyła jej myśl, że zapożyczyła się na posilniejszą strawę dla dziecka i zadłużyła u sklepi-karki, u piekarza i u rzeźnika.

— Jakoś tam będzie!



Otrzymała już kilka obstalunków na robotę. Córka jej jest zdrową. Wszystko będzie dobrze.

. . .

Zbudziła się z długiej zadumy. Powiodła rękami po czole i po twarzy. Zerwała się ze zniszczonego starego fotelu.

Teraz otwiera kuferek i dobywa z niego przechowywane, jak relikwje, kosztowności, które oddawna postanowiła zastawić na pewien czas w lombardzie. Spłaci temi pieniędzmi komorne i inne mniejsze długi.

Wprawdzie jest jej trochę trudno rozstać się z niemi, (czyni to po raz pierwszy) lecz gospodarz groził, że jej dłużej trzymać nie będzie; a sklepikarz łuta pieprzu nie chciał jej więcej dawać.

Ogląda teraz swoje skarby: Są to po większej części upominki, otrzymane w Farjanicach na gwiazdkę, lub przywożone z różnych zagranicznych miejsc kąpielowych, a także stare pamiętki po mężu i po rodzicach.

Przewiązane wstążeczkami, spoczywały okryte watą i symetrycznie ułożone w pudełkach od cukierków, przywożonych kuzynkom przez konkurentów, a także w okrągłych szkatułkach od pudru, lub w ozdobnych obrazkami aptecznych pudełkach od proszków, kadzideł

i t. p. (Pudełka były jej pasją, i kuzynki zawsze ze śmiechem znosiły je jej z całego domu).

Leżały tam kolczyki z turkusikami, medaljon z granatów, krzyżyk cienki z łanego złota z perełkami, zegarek, tabakierka z kameą po ojcu, pogięty srebrny kubek i srebrne szczypce z podstawką do świec łojowych.

Owinęła wszystko w serwetę, wdziała chustkę i kapelusz na głowę i przeszła na chwilę do sąsiadki z prośbą, aby ta przy dziecku ją zastąpiła.

Byli to jedyni znajomi, jakich w życiu posiadała. Wdowa po urzędniku, nędznie utrzymująca się wraz z córką z małej emeryturki.

Panna, dwudziesto kilkoletnia, przystojna blondynka, mówiła po francuzku: *merci* i *pardon* i grywała na fortepianie „Marzenia dziewczicy”, Bądarzewskiej i wyjątki z operetek.

Początkowo zajmowała się dawaniem lekcji, lecz ponieważ swoje ulubione *merci*, napisała kiedyś przez s, imiesłowy używała jaknajniefortunniej, a usprawiedliwiając się listownie przed matką jednej z uczenic pisała, że jest tak słabą, iż nawet nie może przyjechać *derożką* — utraciła z czasem wszystkie lekcje. Odtąd liczyła, że albo wyjdzie za mąż, albo nie wie jeszcze, co uczyni.

Od kilku lat bywał u nich młody urzędniczek z poczty, nie piękny wprawdzie, lecz miły i bardzo dowcipny. Często używał wyrażen: *nie mnie brać na kawał, niema głupich, lubię kwia-*

*ty, ale w maju.* Bardzo dowcipny. Panna śmiała się do rozpuku. Były to dowcipy z modnych wtedy operetek: Mikada, Ptasznika z Tyrolu i z Gasparone.

Od kilku lat w niedzielę towarzyszył jej w ogrodzie Saskim, nosił jej książkę do nabożeństwa, w dniu imienin ofiarowywał neseserki, (miała już od niego — cztery), flakoniki z tanimi perfumami, lub cukry z nieznanych fabryk; a na prima aprilis przysyłał jej grube koperty, w których znajdowała 20 innych; a kiedy zmęczona wszystkie odpieczętowała, znajdowała na ostatniej napis:

„Ciekawość pierwszy stopień do piekła...”

W drugi dzień Zielonych Świątek, byli wraz z ogromnem towarzystwem na Bielanach. Samowar buchał z dala; mamy i ciocie przyrządzały *butersznity*; katarynka fałszywie wygrywała; piwo z beczki się lało, a młodzi tańczyli na trawie.

Pan urzędnik trochę podpity oświadczył się pannie. Zbiegły się mamy i ciocie i entuzjastycznie rzucały się sobie w objęcia.

Dzień ślubu był naznaczony. Postanowiono uprosić Żłobikiewiczową, aby niezwłocznie po wyzdrowieniu dziecka zajęła się szyciem wyprawy, mającej się składać z sześciu koszul, trzech ręczników, dwunastu batystowych haftowanych spódniczek i ośmnastu koronkowych peniuarów.

Żłobikiewiczowa weszła do pokoju swoich sąsiadek. Panna w białym kaftanie siedziała przed

lustrem; w jednej ręce trzymała watę z pudrem. w drugiej żelazko, którem układała sztucznie grzywkę.

Szyk sąsiadki imponował Żłobikiewiczowej, jak ongi kultura jej kuzynek. I jak wogóle imponowały jej wszystkie inne ludzkie właściwości, których ona sama nie posiadała. Naprzykład gra na fortepianie, swobodne rozmówki z młodzieżą! Ona i dowcipy z młodzieżą! Chryste Panie! Oczywiście nie zazdrościła i różowych liścików, których ona sama nigdy w życiu nie otrzymywała. Bo jakżeż by ona mogła wzbudzić czyjekolwiek uczucia? Od tego są na świecie inne piękne, rozumne, utalentowane. A nie takie więdźmy, jak ona. I bardzo pokornie prosiła sąsiadkę:

— Muszę w ważnej sprawie wyjść na miasto. Czy nie zechciała by paniusia zastąpić mnie przez chwilę przy mojej dziecince.

— Ach! Jak mamę kocham — bardzo chętnie.

Warszawianeczka zarzuciła na nocny kaftan niebieską szydełkową chustkę, przeszła przez sień do izdebki chorego dziecka i, odebrawszy z rąk matki zieloną gałązkę, rozłożyła na kolanach: „Poruszmy z posad ziemię” Jokaia i spędzała muchy, brzęczące nad głową śpiącej dziecinki.

Żłobikiewiczowa z zawiniątkiem w ręku wyszła na miasto.

Dzień był skwarny, lipcowy, chodniki — roz-

palone; na ulicach pieszych niewiele; tramwaje prawie puste.

Zdawała sobie z tego wszystkiego sprawę, jak przez sen; tyle nocy już nie spała; była bardzo zmęczoną.

Prawie nie spostrzegła, jak dostała się do Ogrodu Saskiego. Pot łał jej się z czoła; oddechu złapać nie mogła; widocznie szła zbyt prędko...

Zdyszana, siadła na ławce pod rozłożystym kasztanem. Wkoło dziewczynki z czerwonymi wstęgami u białych, powiewnych sukienek przeskakiwały sznury, puszczały różnobarwne baloniki, ścigały obręcze. Mali gimnaziści z porozpinanemi wskutek upału mundurkami, zapominając o swojej powadze, bawili się w stalki; mieniali między sobą marki pocztowe; starsi sprzeczali się, która z teatralnych naiwnych jest najlepszą i ukradkiem zaciągali się papierosami.

Niańki i bony raczyły młodszą dziatwę wyjętymi z torebek przysmaczkami; emerycy gwarzyli o polityce; a wojskowi i studenci podglądali damom pod woalki; uśmiechali się i wąsa sobie kręcili.

Podniosła się z ławki; czuła, że oczy jej się kleją — jeszcze wykradł by jej kto zawiniątko z pod pachy...

Minęła ogród, ulicę Królewską, Warecką i przystanęła na Placu. Na jednym z domów widniał napis: *Kasa Zaliczkowa*. Zawiniątko nie zgubiła.

Rozejrzała się dokoła, czy kto na nią nie patrzy; przystanęła przy bramie, do której przybitą była szklanna szafka z damskim obuwciem. Umyślnie przypatrywała się przez chwilę, aby przechodnie sądzili, że ona udaje się do szewca po zakupy...

Weszła na schody. Obawiała się, że spotka tu dawną gospodynię z szyderczym uśmiechem, lub może kogo z Kromołowa... Co za wstyd!

A może zjawi się ktoś z Farjanic? Poczciwy wuj, lub wujenka, (jak ona już ich dawno nie widziała!) zlitują się nad jej nieszczęsnym losem; wezmą ją wraz z dzieckiem na wieś... Ah! cóż za majaczenia snują się po jej głowie? Przecież nie ma gorączki...

Otworzyła drzwi i ciemną sionką wślizgnęła się nieśmiało do sali lombardu.

Wyobrażała sobie biuro poważniejszym i więcej złowrogiem; a zastała zwykły duży frontowy pokój o trzech oknach, z obiciem białem w złote kwiaty, jak w prywatnym salonie. Okna bez firanek, podłoga brudna, zabłocona. Na ścianach widniały obrazy świętych, jakaś kopja Rubensa, dwa Rembrandty i niezliczona moc niewykupionych z zastawu zegarów i świeczników.

U sufitu trzęsło się kilka pajęczyną okrytych, złożonych żerandoli; na oknach z przylepionemi numerami stały lampy, najrozmaitszych form, postumenty i kosztowne wazony.



Za drewnianą barjerą, rozdzielającą pokój na dwie połowy, siedział z jednej strony jakiś siwy, ślepy staruszek, zbankrutowany jubiler, oceniający za pomocą lupy i dwóch par okularów wartość przynoszonych do zastawu klejnotów; koło niego jakiś młodzian w kratkowanym ubraniu, pogwizdujący arje z operetek wypisywał kwity; a w drugim końcu sali jakiś poważny, nadęty pan, udający wielką figurę, wypłacał z dystynkcją kamerdynera wielkiego domu pieniądze interesantom.

Sala była przepełniona. Ludzie, jak w mrowisku gwarzyli i ruszali się. Aż szaro było od unoszącego się w powietrzu pyłu i kurzu. Szczególniej przy kasie ludziska tłoczyli się i po piętach sobie deptali. Pomimo skwaru, okien tu nie otwierano; a kobiety, osłabłe kilkogodzinem wyczekiwaniem, mało nie mdlały od stęchlizny starych zaśnieżonych zastawów, odoru tanich cygar i potu.

Wszędzie panował zgiełk i hałas. Słychać było krzyki licytacji, odbywającej się w sąsiedniej sali, szwargot żydów handlarzy, wywoływanie nazwisk i bezskuteczne upominanie woznych. Aż głowa bolała od ciągłych sprzeczek i utarczek z kasjerem, od którego żądano większych pożyczek „ponieważ wszędzie indziej więcej dają”. Grożono, że przychodzą po raz ostatni do tej nory.

Wszędzie znać było butę ludzi, którzy nie pierwszy raz swoje rzeczy zastawiają i oznaj-

mieni są z kasą pożyczkową tak dobrze, jak z kasą teatru lub kąpieli; nie martwi ich ona i nie zawstydzają.

Kilku studentów z miną tryumfującą oddawało w ręce ślepego taksatora swoje zegarki; śmiali się przytem i drwinkowali, jakgdyby biedą swoją się szczycili.

Jakiś barczysty, z czerwonym nosem jego-  
mość hałasował swoją grubą łaską, spluwał i gro-  
ził, że przychodzi po raz ostatni do tej „budy“.

Taksator oznajmił jakiejś zawołowanej da-  
mie, że nie może udzielić pożyczki na jej pier-  
ścień, ponieważ brylant w nim fałszywy. Dama  
drgnęła; a po jej wybladłych policzkach, dwie  
grube łzy się stoczyły. Z pochyloną głową zni-  
kła pospiesznie wśród krzyżujących się na pół li-  
tosnych, napół ironicznych uśmiechów. Tragiedja  
ostatniego w życiu zawodu. Bo zawołowana da-  
ma żyła jedynie młodocianem wspomnieniem  
zmarłego narzeczonego, który ofiarował jej ongi  
ten sygnet. I sygnet okazał się dziś fałszywym!  
Ukochany święty zadrwił z niej, okłamał!

Jakaś czerwona dziewczyna w wytartej su-  
kni, z grzywką, wciągała ze swobodą i pewnością  
siebie ogromną maszynę do szycia — przy po-  
mocy dorożkarza. Nie frasowała się tem wca-  
le; czyniła to widocznie nie po raz pierwszy. Za  
chwilę będzie miała pożyczone pieniądze, a po-  
tem — jakoś tam będzie!

Tylko jakaś siwa staruszka w okularach,  
rozwijając w kacie na kolanach z zawiniątka,

staroświecką srebrną cukiernicę, dwa lichtarze i pogięte łyżki — rzewnie, jak dziecko płakała.

W tej chwili woźny wykrzyknął: Żłobikiewicz z Podwała!

Oszołomiona i zawstydzona doszła do kasy i, na zapytanie, czy zgadza się na 35 rubli pożyczki, nieśmiało kiwnięciem „tak” odpowiedziała.

Nareszcie skończyła się ta straszna męczarnia wyczekiwania w lombardzie! Włożyła pieniądze do kieszeni sukni i uśmiechnęta, lekka, jak gdyby gdyby jej kto odjął 20 lat z karku, wyszła na ulicę.

Nie liczyła, aby otrzymała więcej nad 35 rubli; wystarczą jej one na spłacenie zaległego komornego i na inne długi. Dziś zaraz weźmie się do szycia; dziecko już jest prawie zupełnie zdrowe... Ona wprawdzie czuje się trochę zmęczona, lecz cóż dziwnego? Nie jest już zbyt młoda...

Lecz córka jej dorasta; za dziesięć lat będzie dorosłą panną; będzie piękną, dobrze wychowaną... Czemużby nie miała wyjść za mąż, jak córka jej sąsiadki?

Uśmiechnęła się na samą tę myśl. O wielkiej karierze dla niej nie myśli: ot — jaki młody, przyzwoity chłopak z biura, jak tamten. Córka jej jest pocziwą; nie zapomni o małym kąciuku dla matki... Ona w gospodarstwie za to jej pomoże; wnuki na kolanach bawić będzie... Ach! Gdybyż tylko dni tych dożyła...

Nie obawia się przykrości ze strony zięcia; będzie wyrozumialszą, niż inne teściowe...

Doszła do bramy Ogrodu Saskiego.

Machinalnie sięgnęła ręką do kieszeni... Co to?... Pieniędzy w niej nie było. Uśmiechnęła się, potem drgnęła... Przetarła oczy rękami: Nie, nie... To — halucynacja; to by się stać nie mogło... Powtórnie przetrzęsła kieszenie rękami; były w niej kluczyki, maleńka portmonetka z drobnymi, chustka do nosa — nic więcej...

Zapewne włożyła paczkę banknotów na pierś za stanik... Zawróciła się i weszła do jakiejś bramy; potrząsała gorączkowo suknię, rozpięła guziki stanika — pieniędzy nie było...

Co ma teraz uczynić? Pobiegnie nazad do lombardu i powie kasjerowi... Nie, nie — to szaleństwo! Stanowczo pamięta, jak kasjer do ręki odliczał jej pieniądze...

Cóż więc z niemi uczyniła? Już nic teraz niewie, głowa jej pęka... Zgubiła je, zgubiła...

Drobna, biedna, skulona stanęła przed bramą i, jak małe, skrzywdzone dziecko, szeptała głosem, zdolnym wzruszyć kamienie:

— Mój Boże, mój Boże! mój Boże!

Wypieki wystąpiły jej na twarz, oczy się zaiskrzyły. Ona zatraciła te pieniądze w drodze; wróci więc nazad ulicą Mazowiecką aż do bramy lombardu i wynaleźć je musi, musi, musi...

Z początku biegła, jak szalona... Chustka opadała jej z ramion; kapelusz w bok się przekrzy-

wił... Język miała suchy, jak z drzewa...  
W ustach ją paliło...

Potrącając przechodniów, wpatrzona jedynie w płynące cuchnącą wodą rynsztoki i rozpalone z asfaltu chodniki, szukała z szeroko i błędnie wytrzeszczonemi oczami swojej zguby i biegła wciąż dalej i biegła...

Potem szła coraz wolniej. Wreszcie zdyszana, stanęła przed bramą lombardu... Pieniądzy nie znalazła...

Teraz wraca ku domowi; w piersi czuje, piekło; radaby włosy wydzierać, bić głową o ściany — możeby jej to ulgę przyniosło...

Zdawało jej się, że słońce powinno przestać świecić, a cały świat wyjdzie ze swych posad; a w koło niej życie wrzało zwykłym swoim ruchem, jak woda, niezamącona wrzuconym rozbitym kamykiem.

W sklepach strojne panie wybierały z powagą nowe materje, pióra i kwiaty; na rogach przechodnie z zaciekawieniem odczytywali afisze, oznajmiające prędkie przyjazd sławnej jakiejś śpiewaczki, *premierę* w Rozmaitościach, koncerty w Dolinie Szwajcarskiej.

Grupkami, z tornistrami na plecach wracały z pensji panienki. Przedrzeżniały profesorów, opowiadały sobie dowcipy, chichotały i śmiały się wesoło. Za nimi mknęli chłopcy z cukierni z tortami i cukrami na głowach, posłańcy w czerwonych i niebieskich czapkach z różowemi i białemi liścikami, dalej ogrodnicy z ogromnemi bu-

kietami, urzędnicy, uszczęśliwieni odbytą już pańszczyzną w biurze i tłum, krzyżujący się na wszystkie strony, jak w mrowisku.

Środkiem ulicy mknęły dorożki, powozy, karety. W jednej z nich wyglądał z okna pinczerek, faworyt pani, spasiony, bezmyślny, szczęśliwy.

Przeszła przez ogród Saski, ongi „letni salon“, przepelniony w tej chwili tak zwaną „całą Warszawą“. Ruchoma mozaika warszawskich piękności, przychodzących codziennie na składane szeptem hołdy uwielbienia, błyszczących, jak na kwiatkach motyle!

Pośród zieleni drzew i trawników, zapachu barwnych kwiatów i plusku wodotrysków, ukazywały się, jak gwiazdy na tym ziemskim firmamencie posażne panny, do których młodzież tłumnie się garnęła, szczęśliwe żony oparte na ramionach mężów, którymi się szczyciły, matki dumne z pięknie upstrzonych swoich córek, wdówki, polujące na mężów i strzelające podmalowanemi oczami — sławy teatralne, uliczne i zaułkowe.

Z głową pochyloną, z oczami szeroko otwartymi, przypatrywała się bezmyślnie temu tłumowi i szła wciąż dalej, dalej...

Nie, Pan Bóg zsyła jej zanadto trosk i udręczeń na jej głowę — stanowczo za wiele...

Przecież nigdy nie żaliła się na los swój, znosiła wszystko z pokorą; za wszystko była wdzięczną Panu Bogu.



Lecz nie zaznała uścisku matki, nie usłyszała serdeczniejszego słówka ani w Farjanicach, ani u męża. Nigdzie. Nie była nigdy młodą, ani piękną, ani kochaną przez nikogo—nigdy, nigdy! Czemu była wiecznie niezgrabną, do niczego nie zdolną i od urodzenia brzydką? Czemu nie wzbudziła nigdy nieczyjej miłości? Przypatrywała się tylko życiu zdaleka. Aktorka bez ról, bez repertuaru, bez engagement... Dokoła słyszała śmiechy, zwierzenia szczęścia i szeptu. Wiedziała, jak inne kobiety wzbudzają miłość, otrzymują tajemnicze liściki, cukierki i kwiaty. Jeni ona jedna nigdy nic od nikogo. Ani jednego różowego liściku, ani jednego kwiatka. A przecież nie żaliła się nigdy przed nikim. Nie zazdrościła nigdy nikomu. Bo pojmowała, że rodzą się i nieszczęśliwsze od niej kaleki, garbate, kulawe. Rodzą się. Po co? Jedynie na pośmiewisko złych ludzi i na własną niedolę. Lecz i jej na świecie nie było zbyt lekko, choć oczywiście garbate i kaleki są od niej nieszczęśliwsze. Pocieszała się tem sztucznie. Bo w zwierzeniach swoich przecież blagowała. I o idealizowanych Farjanicach szeroko by można mówić. I wujence w złym humorze nie łatwo było dogodzić. I kuzynki może na zbyt z niej drwinkowały. A ś. p. mężowi zarzuca jedynie to, że cała wieś wiedziała i służba słyszała to wszystko, co ona pragnęła zataić. Tak, tak. Po różach w małżeństwie nie stapała. A teraz znów Warszawa. Do ostatnich chwil pracowała

bez wytchnienia, jak koń dorożkarski od świtu do zmroku — za to pragnęła tylko nie umrzeć z głodu i wychować swoje dziecko. A jakież straszne męki przytem cierpiała, jakież niezliczone rany jej się otwierały, ile goryczy cierpliwie wypiała!

Za co, dla czego tak cierpiała? Jakaż wyższa siła, tak nielitościwie pastwiąca się, ustawiała i piętrzyła niezliczone przeszkody w tej marnej wędrówce życia, o które nikogo nie prosiła, którego celu nie знаła.

Znosiła dotychczas większe straty, niż tę ostatnią... Lecz dość już ma tego... To nad jej siły... jest już starą, samotną, bezsilną nędzarką...

Garnek — kiedy jest pełny — ani jednej kropli więcej do niego nie należesz. Dzbanek się przelewał. Ona nie jest już w stanie znosić więcej trosk i utrapień; nie może, nie ma już sił...

Zdawało jej się, że jakaś otchłań piekła się przed nią otworzyła i że jakaś mściwa dłoń ją ku niej ciągnęła. Machnęła ręką:

— Niechaj się dzieje, co chce. Pal lichu! Niechaj wszystko przepadnie!

Była przekonana, że wyrzucą ją z mieszkania, że zmarnieje w nędzy pod płotem w łachmanach, a że dziecko się nie wychowa; być bardzo może, że nawet właśnie w tej chwili w domu dogorywa...

Przyspieszonym krokiem weszła do pokoju. Dziecko gwarzące, wesole z uśmiechem rączki do niej wyciągnęło...

Odepchnęła je łagodnie od siebie i padła strudzona na podarty fotel. A w zbolącej jej głowie nowa bluźniercza myśl się wila; jedna z tych, jakie wybuchają w nas tylko w najwyższej rozpacz:

— Jeżeli to dziecko ma przecierpieć i przeboleć życie tak, jak ona, niechaj by lepiej nie żyło!

---

# KASTOR I POLUKS

*Niemoralna bajka dla dorosłych,  
niegrzecznych dzieci.*

Nie znacie państwo panny Lili Korskiej? Muszę ją wam przedstawić: Jest nie z tych Korskich, lecz z zupełnie innych. Właściwie to jedynie jej nom de guerre; a nazywa się poprostu: Marja Kogutkówna, z Teatru Młodości. Jest to śliczna, bardzo śniada brunetka, umalowana na kolor alabastru, z utlenionemi złotemi włosami. Podług określenia jednej z przyjaciółek — to złota dziewczyna! Posiada złote włosy, złote serce i złote zęby!

Panna Lili Korska poznała Kastora i Poluksa na wyścigach; a raczej ci dwaj gentlemani byli jej przedstawieni, ponieważ to nie jest osoba, która zawiera znajomości na wyścigach z panami z ulicy; choć panowie ci nie byli wcale z ulicy, lecz z najwytworniejszego klubu strzelców, niewiadomo czemu tak nazwanego, ponieważ należą do niego nie strzelcy, lecz łowcy posagów, grubych ryb, fok i t. d.

Kastor i Poluks byli nierozdzielni. I żegnając się ze sobą w nocy lub nad ranem, umawiali się codziennie:

— A więc pamiętaj: Jutro rano tenis; następnie śniadanie w klubie; potem przejażdżka samochodem, five u księżny Jerzowej...

— Prawda! Mamy obiad! Nie możemy być w Grandhotelu. A wieczorem za rogatekami w Lilianie tango z ciałem baletowem.

Panna Lili Korska była dnia tego na wyścigach w jaknajlepszym humorze. Grała „na fuksy” i była wygraną. Rozgrzana, kazała przy bufecie podać sobie butelkę szampana, do którego zaprosiła zauważonego hrabiego Pain d'Epice na pogawędkę.

— Pogłupieli ludziska! Czego oni wszyscy tak na mnie się gapią?

— To taki „fuks”, jak z Ajaksem.

— Mój drogi, nie lubię niesmacznych dowcipów. To tualeta moja zwraca ogólną uwagę. Paryska, od Douceta. Słowo honoru. Podoba ci się?

— Sądzę — uczył ją przestarzały w zasadach hrabia Pain d'Epice — że dystyngowane damy nie wszędzie i nie o każdej porze dekolują się. Śród dnia wypada jedynie w sypialni, a dopiero wieczorem w salonie.

— Głupiś, mój drogi. Podług ostatnich żurnalów — uczyła go bardzo poważnie panna Lili — dystyngowane damy wszędzie i o każdej porze mogą dekoltować piersi; a w salonach w wieczorowych sukniach jedynie... nogi. Patrz, ci dwaj *sztrabancle* wściekli się, czy co? Jak Bożię kocham! Skandal, jak wybałuszyli na mnie ślepie!



— Mogę ci ich przedstawić. To podolacy „z towarzystwa”: Kastor i Poluks.

— Kastor i Poluks? Wystawiali kiedyś w Wielkim teatrze balet pod tą nazwą. Słowo honoru.

— Nie. To był Robert i Bertrand.

— Nie wszystko jedno? Masz pasję sprzeczenia się. Jazda! Zafunduj mi te dwie twarzyczki.

Po pierwszych ceremonjach przedstawiania primadonnie udało się szepnąć na stronie zawstydzonemu nieco Kastorowi:

— Ma pan bardzo przyjemne dotknięcie ręki. — A obrzucając go następnie powłóczyłem, obiecującym spojrzeniem, dorzuciła:

— A proszę śnić dziś o mnie w nocy — i powróciła do reszty towarzystwa, dysponując:

— Garson, jeszcze dwa kieliszki i jeszcze jedna butelka Pommerego.

Wreszcie wyścigi miały się ku końcowi. I czarująca divetta — w nieścisłym tłumaczeniu — dziewczyna, przy kieliszku szampana, za który sama zapłaciła (nie przyjęłaby przecież fundy od ludzi, których zaledwie dziś poznała), zapraszała ich z uśmiechem prawdziwie dworskim, choć wychowywała się przeważnie na podwórzu:

— Będzie mi bardzo przyjemnie widzieć panów u siebie. Jestem zawsze w domu pomiędzy

drugą a czwartą; ale — dokończyła filuternie — nie w nocy, lecz po południu.

— A w nocy o której? — badał ją niedyskretnie hrabia Pain d'Epice.

— No, bardzo proszę nie zapominać się — zgromiła go tonem tragicznie komicznym; i, żegnając Poluksa miłosnem spojrzeniem, rzuciła mu prawie do ucha:

— Proszę śnić dziś o mnie w nocy. — A wyciągając rękę z jego uścisku, dorzuciła:

— Ma pan bardzo przyjemne dotknięcie ręki.

Kiedy powróciła z wyścigów do domu, czuła, że jest zakochaną...

— Ale w kim?

Kastor był barczystym, niebieskookim blondynem; Poluks wysmukłym, ogorzałym brunetem.

Lecz panna Lili nie miała swego ulubionego typu; przepadała wprawdzie za brunetami, lecz i blondyni nie byli jej mniej sympatyczni.

Piła trochę za wiele szampana. A kiedy zaczęła badać tajniki swego serca, kto z tych dwóch jest właściwie tym, który zabrał jej myśli i posiadł... moralnie całą — tajniki serca, bez sekundy wahania odtelefonowały jej jaknajkategoriyczniej głosikiem pierwszej naiwnej, zmatowanym chroniczną chrypką starej noble-mère'y:

— Kto z tych dwóch? Co tu długo gadać: Obaj.

Aż się zdziwiła, aby do najgłębszych komórek duszy mogła przedostać się taka kultura cynizmu!

— Prawda! Jakżeż można było nie domyślać się. Naturalnie. Obaj — nawet odgadła wnet, dlaczego: Oto podobali się jej coraz więcej dlatego, że byli zupełnie do siebie wzajemnie... nie podobni.

Nie pamiętała jedynie ich przezwisk.

— Kastor i Bertrand! — łamała sobie głowę wśród marzeń.

— Nie, nie! Robert i Poluks!... — machnęła zniecierpliwiona ręką. — Czyż nie wszystko jedno? Przecież nie o nazwiska tu chodzi! — I zasypiała zmęczona, wymawiając miłośnie imiona:

— Roman i Kacper. Nie. Krzysztof i Bernard...

A Kastor i Poluks, którzy piorunem ujrzeni ją, poznali i pokochali — przychodzili już teraz od dwóch tygodni do niej codziennie. Divetta przyjmowała ich na empire kanapce, którą pani Récamier zapożyczyła od Rzymu, a panna Lili Korska z rekwizytów Pięknej Heleny.

Lecz pani Récamier patrzyła — jak Bóg przykazał — w oczy jednego mówiącego: a panna Lili z wyroku fatalności, jak pracowita mrówka — musiała przechylać głowę to w jedną stronę, to w drugą i strzelać oczami to w stronę Kastora, to Poluksa, narażając się ewentualnie na nerwowy tik, lub zez.

Całe jej mieszkanie przemieniło się w oranżerję; aż głowa od tych narcyzów, róż i fijołków pękała. A na dziękczynnych jej ustach pojawiał się coraz częściej zagadkowy uśmiech, wywołany wspomnieniem konceptu z kurjerka, który z trudem powstrzymywała:

— Dość już tej botaniki. Warto by nareszcie przejść do mineralogji.

Rozkochani młodzieńcy uważali, że ona ma uśmiech bardzo interesujący.

Nazajutrz zaczęły znowu bombardować u jej drzwi żardiniery storczyków, kosze chryzantem, gitary z róż i kamelii i serca z narcyzów i fijołków.

— Wściec się można od tego zielska — skarżyła się oburzona na obfitość napiwków ciotka panny Lili Korskiej, będąca jednocześnie jej matką, bo pannę Korską ciotka rodziła. — Gdybyż zamiast tych wszystkich narcyzów przysłali raczej kopę szparagów lub kilka kalafiorów.

Lecz divetta wpadła na szczęśliwą myśl, aby to zielsko do niczego podawano jej na scenie, niby hołd od publiczności. Będzie przynajmniej z tego jakaś reklama!

Poodpinała wstążki od sukien i kazała na tych wiązankach kwiatowych powypisywać: od wielbicieli talentu, od muzyków, od młodzieży kształcącej się.

Ten ostatni napis zresztą zniszczyła, ponieważ — choć bardzo zaszczytny — mógł być wobec złośliwości ludzkiej — kompromitującym.

Lecz cała gienjalność pomysłu na nic się nie zdała, ponieważ reżyserja zabroniła podawać jej kwiaty na scenie. Nie pomógł atak spazmatyczny za kulisami; nawet lekarza teatralnego do niej nie wezwano.

Szczęśliwym trafem odbywał się w tych dniach jubileusz 25-lecia pani Bianki Tonerre; choć właściwie to nie było jej nazwisko, lecz pseudonim, ukrywający pannę Marcyjanę Imbryczkównę, która wybrała na swój benefis tytułową partję w operetce „Niewiniątko z Belle-Ville”. Panna Lili Korska posłała jej olbrzymią żardinierę narcyzów ze skromnym napisem: „Gienjalnej artystce — koleżanka”.

Lecz panna Tonerre tych kwiatów nie przyjęła, ponieważ dowiedziała się, iż jakaś gruba ryba czyni u dyrekcji starania, aby po benefisie odebrać jubilatce z powodu wieku rolę Niewiniątka i powierzyć tę kreację pannie Lili.

— Śpiewaczka powinna mieć nie tylko plecy, lecz i gardło. A kobieta ma tylko tyle lat, na ile wygląda — broniła się pani Tonerre, twierdząc, że miała lat trzynaście, kiedy wystąpiła po raz pierwszy w roli „Pięknej Heleny”.

— Rzeczywiście — godzili się na ten jej stały aforyzm złośliwi koledzy. — Tonerre wygląda na tyle lat, ile ich ma.

Po opuszczeniu kurtyny wybuchła na scenie straszliwa awantura pomiędzy temi paniami.

— Nie przyjmuję tych używanych narcyzów, ponieważ pani nie jesteś ani artystką, ani gie-

njalną, ani koleżanką. Jesteś niczem; jedynie panną, która zapija na wyścigach w bufecie szampana.

Pani Tonerre - Imbryczek uważała, że uczciwa kobieta może pić jedynie w zamkniętym gabinecie.

— Pani przestałaś pić dopiero od lat dzieściu, ponieważ masz katar żołądka i ponieważ nikt ci już szampana nie proponuje.

— Proszę wyprowadzić natychmiast z mojej garderoby tę pannę.

— Ja jestem panną? — drgnęła, do żywego dotknięta, rywalka. — Zabierzcie tę staruszkę, bo jej oczy wydrapię. Piłam tego czampana za własne pieniądze, zrozumiała pani, za własne. A jeżeli pani nie chce, aby ci role odbierano, nie powinnaś z powodu wieku tracić już pamięci; bo zapomniałaś już widocznie o swoich dawnych czasach.

— Ja pamięć tracę? — syknęła pani Bianka Tonerre z pianą na ustach. — Przed rokiem opiekował się panią książę, przed dwoma laty fryzjer, w przeszłym roku bankier, później hrabia; teraz tych dwóch. Widzisz, nie straciłam pamięci.

— Tych dwóch! Rzeczywiście! — zakipiała niewinnie oskarżona. — Milcz! milcz! milcz!

Zaledwie je rozbrojono. Nie obyło się przytem bez skandalu. Oto baryton (mówiono o nim, że ma tylko bary duże, lecz ton mały), zaprzyjaźniony z panią Tonerre, rzucił tenorowi, za-



przyjaźnionemu z panną Lili Korską, rękawicę w twarz z taką siłą, że wybił tenorowi szczękę i zęby. Prawda, że zęby były sztuczne, a szczęka z gutaperki, nieco zluźwana. Obyło się szczęśliwie bez pojedynku, załatwionego bardzo przeciągłym sądem honorowym, który odbył się w jednym z barów.

A pannę Lili aż za gardło coś dusiło z żalu, że języka w gębie zapomniała; szczególnie tej „panny z wyścigów” i „tych dwóch” strawić nie mogła.

I zaledwie do domu swoim najętym miesięcznie powozem zajechała, zasiadła, aby się uspokoić, do empire biurka z bronzami i napisała na angielskim arkusiku ze złotym monogramem list, wprawdzie bez podpisu, lecz lakoniczny i dobitny, pomimo finezji i grandezzy, z jaką brzmiał: „Pewna życzliwa osoba uważa, że lepiej być panną, niż starą małpą”.

Niestety, nie mogła wysłać tego listu z powodu wątpliwości, czy „życzliwa” pisze się przez rz czy ż i czy na końcu wyrazu: lepiej — pisze się ej czy też i.

W tej chwili u wchodowych drzwi divetty rezległ się dzwonek. Serce jej odgadło odrazu: To oni, ci dwaj młodzi ludzie, których kochała... A przez głowę jej, uczesaną à la Boticelli, przeleciało, jak upiór:

— Pomyśleć, gdyby nie zazdrość — jacy moglibyśmy być szczęśliwi teraz ze sobą wszyscy troje! Słowo honoru. Z pewnością nie zbywało

by na miłości żadnemu. Mego serca wystarczyło by na troje.

Wreszcie uderzywszy w czoło, wykrzyknęła:

— Eureka! Dotychczas okazałam się rzeczywiście godną tytułowej roli Niewiniątka z Belleville. Jestem stokroć naiwniejszą od tej staruszki. Jeden z nich czasowo musi ustąpić.

Sprzyskrzyło się ostatecznie pannie Lili Korskiej to strzelanie na obie strony oczami i wążenie na wagach każdego słówka i uśmiechu, aby nie skrzywdzić na łut Kastora względem Poluksa, lub odwrotnie.

Przy lada przechyleniu się wagi w którąbądź stronę — czuła, jak błednie i przemienia się nagle w słup bolesnego milczenia jeden z przyjaciół; to znowu za odpowiednim ruchem wagi w drugą stronę — czerwieni się i zagryza wąsy drugi.

I te wieczne ich docinki wzajemne, których liczba coraz się powiększa, te sarkastyczne uwagi, coraz częstsze ukłucia szpileczką... Ci dwaj przyjaciele stanowczo zaczęli niebardzo się lubić, z ukrytą dewizą: Tylko ja, albo nikt!

— Nie przychodzą już teraz do mnie, aby starać się o moje względy — przyszła wreszcie do przekonania panna Lili Korska, — lecz jedynie, aby sobie wzajemnie przeszkadzać. Istne psy ogrodnika, które same nie zjedzą, a drugim bronią: Ani ja, ani nikt. Postawię tę kwestję jeszcze dziś na ostrzu miecza:

— Czy panowie jesteście przyjaciółmi, czy też braćmi sjamskimi, połączonymi jakąś niedostrzegalną dla oka spójnią? Byłabym bardzo ciekawą, jak wygląda każdy z was zosobna?

— Ja byłbym tu dziś właściwie nie przyszedł, ale Kocio oświadczył mi wczoraj, że jedzie dziś do Michałowic na polowanie.

— Jak widzisz nie pojechałem.

— Nie jestem ślepy, więc widzę.

— Spóźniłem się na pociąg. Nie byłbym przyszedł tu przeszkadzać, gdybyś nie oświadczył mi wczoraj, że jesteś dziś zaproszony do Strugi na tir aux pigeons.

— O! Przeszkadzać! To nie jest wyrażenie!

— Widocznie jest, kiedy tak się wyraziłem.

— Nie każda ślina, która przychodzi do ust, jest trafną myślą.

— No! Przyjaciele! — klasnęła w dłonie. — Cicho! Ani mrumru! Dość nonsensów! Pani każe.

Kiedy odchodzili, zamierzała Kociowi szepnąć do ucha, aby przyszedł sam jutro o 7-ej, lecz ponieważ był zajęty w ciemnym przedpokoju wyszukiwaniem zawieruszonego paltota, a bliżej niej stał Lolo — jemu do ucha zaprosiny rzuciła.

— Dowidzenia kochanym panom. Jutro mnie w domu niema, ponieważ mam próbę.

Nazajutrz o godz. 7-ej bladzi i trzęsący się zjawili się obaj: spotkali się przypadkiem na

schodach... Pożegnała ich bardzo prędko, skarżąc się na migrenę.

Nazajutrz żaliła się na wyścigach hrabiemu Pain d'Epice.

— Dwuch naraz uwodzić! Fi! — strofował ją hrabia.

— Rzeczywiście! Oni będą tak się starali o mnie przez lat siedem, jak ta figura z biblii o tę krowiętkę przy studni. Jak jej było na imię?

— Rebeka.

— Właśnie! Od czasu, kiedy ich poznałam, żyję, jak w klasztorze lub na wyspie bezludnej. Oni przyjęli na siebie rolę dworskiej służby na wschodzie. Wiesz też z falsetowymi głosami. Mam już tego po szyję. Czuję, że to się nigdy nie skończy. Miły jest ten twój Kastor i... jak się ten drugi idjota nazywał?

— Poluks.

— Właśnie! I niema żadnej rady, abym, pomimo moich najszczerzych chęci, mogła jednego z nich z drugim zdradzić.

— Przeciwnie. Jest rada jedyna.

— ?

— Tak to bywa: gdzie dwuch się kłuci, tam trzeci zdobywa.

Divetta rzuciła na niego uśmiech, jakim na Olimpie uśmiechały się boginie Offenbacha, uśmiech, z którego możnaby fabrykować esencję ambrozji i innych nektarów, wobec których szampan extra-dry wydawałby się narzanem. Uderzyła palcem w głowę:

— Prawda! Nie wpadło mi to na myśl. I ty znasz tego trzeciego?

— Uniżony sługa — ukłonił się twórca aforyzmu, zdejmując londyński kapelusz Scotta made for Warsaw.

— Stawiasz tak nagle swoją ofertę po tylu latach?

— Niezbadane są tajniki duszy ludzkiej.

Mądry uśmiech divetty sprzeciwiał się tej sentencji złych obserwatorów — uśmiech ten mówił najwyraźniej:

— Zbadane są tajniki duszy ludzkiej: To tym dwum głupcom zawdzięczam twoją miłość.

— Wiesz, — szepnęła mu na odchodnem, ściskając go za rękę, — masz bardzo przyjemne dotknięcie ręki; a potem obrzucając go powłóczysem, miłosnem spojrzeniem, dorzuciła:

— A proszę śnić dziś o mnie w nocy. Ale czy przypadkiem i ty, mój drogi, nie masz jakiego przyjaciela?

— Jestem z zasady przeciwnikiem przyjaźni. Ludzie i tak dość się nienawidzą.

— Żądałbyś, aby zgodzili się pić z jednego kieliszka szampana i Kastor i ten drugi, jak się tam nazywa?

— Nie o wspólną miłość mi chodzi; lecz ci wszyscy na świecie bracia i przyjaciele pożerają się wzajemnie nie tylko u wspólnej czary rozkoszy, do której dobierają się nieraz ukradkiem przyjaciele męża i... żony, lecz i u wspólnego

wiadra, u wspólnego żłobu i u wspólnej misy. Bo niema głupszego uczucia, niż zawiść.

— Choć w amalgamacie miłości — uczył Lilkę arcymistrz cynizmu — mieści się nie tylko zawiść, lecz i próżność.

— Zawiść, próżność, amalgamat... Uf! Nic nie rozumiem. Słowo honoru...

— Naturalnie. Bo to już nie jest zawiść, lecz próżność — mówił już raczej do siebie, niż do niej — ta rozkosz krzyczenia na całe gardło: Nikt inny nie potrafił jej zdobyć, tylko ja. Nikt inny jej nie posiada tylko ja jeden. Nawet w miłości do sztuki, której szczytnością artyści się tak chlubią — mieści się i zawiść, jak np. u panny Tonerre, (która walczy z tobą o rolę z zawiści o twoją młodość i urodę) i próżność, jak np. u ciebie, bo chcesz gwałtem pokazać całemu światu, jaka jesteś piękna i jak zbudowana.

— Słowo honoru...

— Bo nawet rodzona matka kocha bardziej (z próżności) piękną córkę, wydaną za dyrektora, niż brzydką, która biedę klepie z mężem jakimś skromnym kancelistą. I ojciec kocha więcej syna, który jest księdzem, lub lekarzem, niż młodszego, który nie chciał się uczyć i jest urzędnikiem na poczcie lub tapicerem.

— Miałem przyjaciela — uświadamiał dalej Lilkę hrabia Pain d'Epice — który wstydził się tego, że kochał bardzo w sam na sam swoją własną brzydką żonę, której nikt mu nie za-



zdrościł. Dlatego też nie pokazywał się z żoną nigdy nigdzie. I wybrał sobie na metresę bardzo piękną idjotkę, z którą nudził się bajecznie, lecz paradował z nią na pokaz wszędzie: na wyścigach, na premierach i spacerach — dumny, że za nią oglądano się.

— Biedaku! Jak ty wszystko wiesz! To bardzo głupio być tak mądrym. Daję słowo honoru.

— Można dawać tylko to, co się posiada. A ty swój honor już oddałaś.

— Co takiego? Nie rozumiem... Ach! To ty nazywasz to honorem! Idjota! Wyrażaj się jasnie.

— Po co?

— Prawda, całe szczęście w tem, że ja połowy z tego wszystkiego, co ty mówisz i tak nie rozumiem.

— Doskonale. Czy słyszałaś o tej komedji Krzywoszewskiego, w której różni hrabiowie i książęta edukowali piękną Bronkę tak długo, aż uczynili z niej karykaturę.

— Uważasz mnie za idjotkę?

— Wobec tego, w jaki sposób wyrażałaś się o mędracach — nie powinno ci to ubliżać.

— Oczywiście. Bo ja głupia mam swój rozumek. I nie cofam tego, co powiedziałam, t. j., że uważam, iż najgłupszy są mędracy. Choć co się tyczy tej bezmyślnej zawiści — to masz słuszność. U nas za kulisami dwóch komików tak

długo szyli sobie buty u władzy i u prasy, aż trzeciego nowego komika przyjęto.

— A czy wiesz, kto wytepił bandytów i rze-  
zimieszków? Nie sądz, że władza. To oni sa-  
mi pomordowali się wzajemnie z niezgody i za-  
wiści przy podziale pochwyconych łupów. Na  
polach walk z wrogami ginie nie więcej ludzi, niż  
śród waśni domowych.

— Wiesz, masz bardzo przyjemne dotknię-  
cie ręki.

— To już słyszałem.

Nazajutrz Kastor i Poluks spotkali się przy-  
padkiem u drzwi primadonny. Prawda, że je-  
den z nich czatował na drugiego od rana. Za-  
dzwonili.

— Lili wyjechała dziś rano z Warszawy.

— Sama?

— Gdzież tam! — odrzekła bardzo filuternie  
ciotka, będąca zarazem rodzicielką divetty. —  
Bardzo wiele osób tym samym pociągim od-  
jeżdżało — i trzasnęła im drzwiami przed no-  
sem.

— Zapewne pojechała do chorej przyjaciół-  
ki. Poczciwina!

— Lub do zdrowego przyjaciela. Niewiniąt-  
ko z Belle-ville!

— Ma foi; najlepsze, co uczynić mogła!

— Wstrętna kabotynka! Miałem jej już po-  
szyję — kipieli obaj ze złości, krztusząc się śli-  
ną, której przełknąć nie mogli.

— Przynajmniej nie będziesz już miał powodu do zazdrości — rzucił ze złym uśmiechem Poluks.

— Wiesz co? — hamował się, nie znajdując odpowiedzi bardzo blady Kastor. — Gwiżdżę na takie docinki!

— Rzeczywiście! Wyrażenie godne tej ciotki, która nam drzwi zatrzęsnęła.

— Czy będziesz dziś wieczorem w Brystolu? — zapytał obojętnie Kastor, aby zatrzeć ton rozmowy.

— Wątpię, może jutro. Dziś mam wieczór zajęty.

— Jeżeli nie jutro, to spotkamy się tam kiedy innym razem — podali sobie lodowato ręce. Nienawidzili się wzajemnie z całego serca.

Aby się ze sobą nie spotykać, zaczęli bywać jeden w Europie, a drugi w Polonii.

A koledzy i koleżanki panny Lili Korskiej, ukazując przez dziurkę kurtyny na dwa świecące teraz pustką fotele, zajęte ongi wiecznie przez dwóch nierozdzielnych przyjaciół — dowcipkowali filozoficznie:

— Sic transit gloria mundi.

— Nie rozumiem po grecku.

— Requiescant in pace. Kastora i Poluksa już niema. Pożarli się.

— Zawsze byli ni z pierza, ni z mięsa.

— Pożarli się, jak owe dwa skradzione koguty, według krotochwilnego oświadczenia źle pilnującego ich chłopaka, które pożarły się wza-

jemnie w ten sposób, że śladu ani popiołu z żadnego z nich dwóch nie pozostało. Biedny Kastor i Poluks. Próżność ich upominała się gwałtem o chlubę posiadania primadonny operetki. A zawiść aż wyła: Ja albo nikt. Porażka fałszywej ambicji i zawiści na całej linii. Znikli z widowni w ten sam sposób, co i te dwa koguty i Kastor i Poluks zarówno jak i przytaczani przez Lilkę dwaj komicy teatralni. W ten sam sposób giną też wśród wewnętrznych waśni i rozterek całe partje polityczne, a wśród walk domowych całe państwa i narody. Avis aux lecteurs.

---

# JAWNE TAJEMNICE

Gabinet rezedowy. Na ścianach Żmurko, Aksentowicz, Chełmoński i Fałat. Olbrzymie fotele angielskie monstrualnej głębokości, jak sitz-bady. Na etażerkach wedźwudy, biskwity, delfty i gallety. Mahoniowe stoliki, jak w poczekalni fotografów — pełne fotografie pięknie upozowanych bogatych krewnych i zaszczytnych przyjaciół. (Podobizny ubogich krewnych i nieumitrowanych znajomych — pochowane skrzętnie w szufladach).

Okolo olbrzymiego sztucznego kominka z nieodłącznym zepsutym zegarem w otoczeniu pendant (niezapalanych nigdy) świeczników — biurko empire z ilością bronzów, o jakiej nie śniło się samemu Napoleonowi. Na niem zatrzęsienie bibelotów i olbrzymi przebogaty kałamarz bez atramentu. Nad biurkiem w mahoniowej ze szlifowanymi szybkami etażerce wybór tak zwanych *ulubionych* książek, to jest takich, których nie czyta się nigdy. Bajecznie oprawny Nietzsche, Ruskin, pani Ackermann, Elemir Bourges, Léon Bloy i t. d.



Na stole koszyczek z rozpoczętą szydełkową robótką, bombonierka z cukierkami i lampa z olbrzymim holenderskim abażurem. Dzienniki francuskie i angielskie i w żółtych okładkach świeże romanse wydawnictw Hachette'a.

W tem wytwornem „ciepełku rodzinnem” na kanapie konsulowa Adonja Goldfingerowa 46-letnia piękna bruneta z utlenionemi jasnymi włosami (przekonana, że ogólnie uchodzi za 28-letnią blondynę)—wertuje książki i dzienniki dla zapamiętywania nazwisk i szczegółów, aby móżdż następnie paradować w salonach swoją kulturą.

Jest to osóbką wrażliwa, jak mimoza; a według określenia jej męża — jak angielska charciczka. Łada dobrem słówkiem można ją sobie kupić; łada marsem na całe życie narazić. Te „nerwy” przeszkadzały jej do wejścia do „towarzystwa”.

Kilkakrotnie już w „badach” zawierała stosunki zaszczytne.

Z początku przyjaźń bywała ogromna; pani konsulowa rzucała się na szyję — gotowa do największych ofiar; i za skrzywieniem palca w trzewiku nowych przyjaciół — stawiała się nie-miłą i zimną, jak lodownia.

I nowi goście musieli kwitować z dobrego kucharza, z pięknie oświetlonych codziennie salonów i z zaproszeń do łoży pierwszego piętra na włoską operę; i stawali się antysemitami jeszcze żarliwszymi, niż do owego czasu.

— W życiu — uczył ją bardzo trzeźwy konsul — trzeba mniej ludziom dawać i mniej od nich żądać. Umiejętność życia polega nie na dobrym wzroku, lecz na zdolności zamykania oczu, kiedy trzeba.

Ostatni kult pani konsulowej był dla panny Ludwiki, jej panny służącej, przyjętej przed tygodniem z najlepszymi świadectwami księżny Borskiej, hrabiny Borejszowej i innych arystokratycznych domów.

— To jest skarb prawdziwy, *une trouvaille!* — zwierzała się mężowi pani konsulowa. A żydów przytem nie cierpi — aż strach!

— Dobrałyście się — pochlebiał jej mąż — i ty przecież jesteś antysemitką.

— Ach! Jezus Marja! Daj mi pokój! Jestem kontenta, kiedy o żydach nie myślę. Wiesz, nie wiedziałam, że księżna Borska zna mnie z widzenia. Panna Ludwika mi mówiła, że księżna uważa, iż w Warszawie ja się najlepiej ubieram; a hrabina Borejszowa pamięta mnie także z kiermaszu.

— Panna Ludwika ci to wszystko mówiła? Jest sprytna.

— Wiadoma rzecz, że ty w nic nie wierzysz.

— Wierzę, że panna Ludwika jest sprytna.

— Chciałabym tę Ludwikę przywiązać do domu, aby była jak najdłużej. Dałam jej wczoraj swoją secesyjną bluzkę, przeszłorocznego Rembrandta i broszkę z ametystem.

— Dawaj jej, co ci się podoba. Ale zaczekaj

jeszcze kilka dni — nie odrazu. Taka nagła miłość prędko przechodzi.

Pani konsulowa, nie słuchając męża, przeszła do swego cabinet de toilette, aby przetrzeć skronie wodą kolońską z obawy wiecznie grożącej jej migreny i wyszukać w szafach suknię na podarunek dla swojej nowej ulubienicy.

W gotowalni drzwi, prowadzące tuż do pokoju panny Ludwiki — były niewidzialnie zalepione tak, aby z sypialnią pani — pokoje służby nie łączyły się.

Naraz pani konsulowa usłyszała jakieś głosy i mimowoli nadstawiła ucha. Głos panny Ludwiki, która zalepionych drzwi nie zdążyła jeszcze spostrzec — brzmiał jak najwyraźniej:

— Konsulowa przyjmuje kochankę męża — objaśniała widocznie swemu gościowi panna Ludwika — ponieważ imponuje jej stosunek z piękną żoną sławnego malarza, którego obrazami, bardzo hojnie opłacanemi — zawieszone jest całe ich mieszkanie. Pojmujesz, że pana konsula nie kocha się darmo. Biedna malarzowa!

— A cóż malarz na to?

— Malarz udaje ślepego. To najwygodniej.

— Więc ludzie wiedzą o tem? — zdziwiła się, podsłuchując pani Adonja.

— A pojmujesz — brzmiał głos panny Ludwiki — że pani Goldfingierowa nie będzie przecież zazdrosna o taką poczwarę, jak konsul.

— Biedaczysko! — roześmiała się pani Goldfingierowa cichutko, aby nie spłoszyć głosów.

— Tolerować we własnym domu kochankę męża — to są wszystko żydowskie zwyczaje — mówił jakiś inny głos kobiecy za ścianą. — Dziwię się, moja Ludwisiu, żeś się zdecydowała wejść do tego domu.

— Ależ mylisz się: Tu bywają księża; pani jest bardzo pobożna; bywa co niedziela w kościele. Byli wprawdzie Moškami, ale się wychrzcili.

— Więc i to wiedzą? — pobladła pani konsulowa, chwytając się za głowę, w której uczuła ból, początek silnej migreny.

— W ich salonie nie spotkasz ani jednego żyda, oczywiście z wyjątkiem ich samych. Sami go!li hrabiowie i księżęta, kuszeni ich marcepanami i frykasami.

— Skąd ona to wszystko wie?

— A tolerować kochankę męża, widzisz moja droga, ona musi; bo ma i swoje własne winy.

Pani Adonja, aby nie utracić jednego słówka — przyłożyła głowę do zalepionych drzwi. Przedtem tylko zwilżyła chusteczkę wodą kołońską i przyłożyła ją do skroni.

— Przez długi czas — objaśniała spokojnie panna Ludwika, widocznie zajęta jakąś ręczną robótką — była bez zarzutu. Kochała się jedynie platonicznie w młodziutkim korepetytorze syna. Była to miłość bardzo szczerą; bo pojmujesz, że takie tam bankierowe, czy też konsulowe — wo!ą kochać się w księżętach. Ale korepetytor, trzeba przyznać, bardzo ładny chłopiec, był z po-

czątku bardzo nieśmiały i dopiero po latach kilku się ośmielił... — Przytaczała różne szczegóły, podczas kiedy za ścianą pani konsułowa biadała:

— Wszystko wiedzą, wszystko, wszystko... Wielki Boże! I nie ona tylko, lecz cały świat, każdy przechodzień ulicy... Wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą. Stokroć lepiej, niż my sami o sobie, bo (w brutalniejszym oświeceniu) przez bezlitośnie okrutny pryzmat ludzkiej opinii. A salon udaje tylko, że nie wie, tak jak my jedynie udajemy, że o nich nic nie wiemy. Nasz *jardin secret* — to oranżeria przezroczyście oszklona. Jakież to okropne! Jak mogłam o tem wszystkim nie pamiętać!

Po raz pierwszy całe życie zajaśniało inną barwą, oglądane obcemi oczami. I zadrżała aż z ohydy.

— Więc po co ta cała obłuda maskowania i udawania, kiedy wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą? — powtarzała w transie w kółko to samo. — I po co spuszczać rolety, kiedy chodzi my po świecie nago? Po co udawać, że się tego nie wie, kiedy oni wiedzą, że my wiemy, iż oni wiedzą.

Z po za ściany obojętny głos panny Ludwiki jakby telefonował jadem cieniutkiego syku:

— Teraz od kilku lat były korepetytor jest już lekarzem i, zawdzięczając jej stosunkom i protekcji, wszedł w praktykę; ma też ogromne powodzenie; bo chłopiec — jak mówiłam już — wyjątkowo ładny. Ale on ma dość tej 46-o letniej

pani konsulowej i chciałby już zerwać ze starą... a ona nie chce, broni się; z całych sił się broni, narzuca mu się.

— Biedny chłopiec z takim starym kamieniem u szyi...

— Ach! Ach! Ach! Ratunku, ratunku! — usłyszała panna Ludwika jakiś nieludzki jęk, wydostający się ze ściany i przerażona, czy nie straszy coś w tym domu — pobiegła do pana.

Pan domyślił się, że to głos z gotowalni.

Pobiegł co tchu do żony.

Pani Adonja Goldfingierowa, jak długa, leżała zemdlona na dywanie.

Kiedy doszła do przytomności, pierwsze jej słowa były:

— Zlitujcie się! Zapłaćcie Ludwice wszystko, co chcecie: za miesiąc, za kwartał lub za rok. Niech jej tylko nie widzę; bo gdybym ją raz jeszcze ujrzała, czuję, żebym umarła. Nienawidzę jej — dostała ataku spazmów.

Po ataku kazała pakować kufry i wyrabiać sobie paszport (pomimo spóźnionej pory, bo miesiąc maj już się zbliżał) do Beaulieu pod Nizzą.

A konsul, uśmiechając się, zwierzał się teściowej:

— Mama nie wie, co jej się stało? Zawsze mamie mówiłem, że to jest angielska charciczka. A to wszystko — histerja. Ta kobieta nie umie odróżnić zranienia cegłą, spadłą z dachu, od najłżejszego ukłucia szpileczką. Z początku miała napad miłości dla panny Ludwiki; a nagle ją



tak znienawidziła, że musi aż przez nią wyjechać z Warszawy. Dla niej śmierć rodzonej matki i zmartwienie, że jej się ktoś nie uklonił dość grzecznie na ulicy — to zupełnie jednakowe nieszczęścia.

Teściowa pogardliwie wzruszyła ramionami: Ten dowcip o śmierci matki — uważała za bardzo niewłaściwy. Wogóle nie lubiła zięcia, którego ojciec był oficjalistą u jej dziadka. A że pani Silberfiszowa, dama bardzo dystyngowana, była także antysemitką — uważała, że zięć jej ma żydowskie manjery. I bardzo zimno, żegnając się z nim, rzekła na odchodnem, nader znacząco:

— Subtelności uczuć nie nabywa się; ani się jej nie traci. Nam nie trzeba cegieł; uklucia szpileczki wystarczają. Gruboskórzy ludzie nigdy nie poznają się na delikatności, cienkości i głębi. To są już właściwości w *dobrych rodzinach* odziedziczane.

— Żegnam mamę — zbył ją, całując teściową w rękę, bo z zasady unikał konwersacji ze starymi babami. Zresztą spieszył do pięknej malarzowej.

— Nie pytam wcale, dokąd tak z domu się wymykasz.

— Po co się pytać, kiedy mama i tak wie — roześmiał się cynicznie na odchodnem, drwiąc najwidoczniej zarówno z cegieł, jak i ze szpilek zatrutych.

---

PAN OLUTEK

— Czy poznajesz tego pana? — pytano  
śród audjencji pana Olutka, któremu przedsta-  
wiono ponownie starego przyjaciela domu, po  
powrocie gościa z dość przeciągłego pobytu po-  
za krajem.

— Nie — urwał lakonicznie pan Olutek, nie  
przerywając swych zajęć.

— To ty jesteś Olutek, prawda? — badał go  
gość.

— Nie, — poprawił go bardzo poważnie —  
ja *jestem* pan Olutek.

Dwór, w postaci zebranego rodzeństwa, par-  
sknął niewczesnym śmiechem. Cała świta, re-  
prezentowana przez francuzkę bonę i ulubienicę  
jego, polską nursy — nianię, wywstążkowaną  
i wykolorowaną ex-mamkę — zatykała sobie  
kułakiem usta z powodu wyniosłości odpowiedzi  
Jego Ekscelencji.

Pan Olutek, z miną bardzo poważną, siedział  
w swojej białej sukience, w białych, prunelo-  
wych pantofelkach na gołych, utoczonych nóż-  
kach.

W lilipucim foteliku swojej ślicznej, białej rezydencji jest poprostu uroczy ze swą kształtną główką o kasztanowatych puklach, z przezroczy-stemi, długorzęsami, szafirowemi ślepkami, ze śmiesznie małym noskiem i buzią wielkości dwu-groszaka, jak król poważny, nie wybuchający ani głośnemi żalami, ani przesadną radością. Pograżony w kontemplacji światów, z których przed trzema laty tu przybył, wydaje się jeszcze zdziwionym i niezupełnie oswojonym ze wszyst-kiem zwyczajami ziemi, którą ma przez pewien czas zamieszkiwać.

Dziwi się też często, chętnie informuje i ba-da otoczenie, jak każdy cudzoziemiec, świeżo przybywający do nieznanej krainy.

Rozglądał się też bardzo często, szczególnie z początku, po swojej lilipuciej stolicy, którą zna już teraz na pamięć: i biały fotelik, z takim-że karlim stolikiem, i białą umywalkę, jak dla lalek, i łóżeczko z siatką z białego kordonka. Nad łóżeczkiem wizerunek Matki Boskiej z Dzieciątkiem, w pięknych ramkach. I Chry-stus na krzyżyku z kości słoniowej.

Na białych ścianach—galerja obrazów w bia-łych ramach składa się z oszklonych polichromji, gwiazdkowych upominków z angielskich dzien-ników, o treści, zastosowanej w nastroju do psy-chologii mieszkańca. Oto na jednym jakiś śmie-sznie kolorowy nauczyciel wiejski brnie wśród białości śniegu, zgarbiony pod kanonadą śnież-nych kul, rzucanych przez całą chmurę ukrywa-

jących się poza drzewami rozweselonych chłopców w strojach szkolnych, z kajetami, tornistrami, piórnikami itd. A oto na drugim, wózek przekupnia, zaprzężony w osiołka, który wierzga, oburzony na figiel jakiejś dziewczynki, podającej mu do wachania bukiet róż. Z wózka wypadają na ziemię owoce: jabłka, winogrona, pomarańcze. Mały kundel w budce na łańcuchu śmieje się z tych figlów do rozpuku. A kaczka, bardzo dumna, kurząc fajkę, dziwi się, jak można solidaryzować z podobnie niemądremi żartami.

W jednym rogu panopticum lalek: błazen królewski z dzwonkami w sąsiedztwie jakiegoś wygalonowanego Węgra; biały pierrot obok barwnego Krakowiaka. Dalej zbrojownia: pałasz, strzelby, pistolet, uniform i kaskiet Napoleńskiego grenadjera.

A obok stajnie i ekwipaże dworskie: bułany rumak z ognistym, szklanym okiem, dosiadany często przez władcę—buja się na biegunach drewnianych. Tuż welocyped na trzech kołach i biały wózek, używany do wyjazdu na spacer.

W białej, otwartej szafie garderoba dworska: mnóstwo lilipucich sukienek, przeważnie białych, i paltociki o marynarskich wyłogach, ze złotymi guzikami: szkarłatne, szafirowe, białe. I koszulki, majteczki i chluba matki — zbiór ogromnie śmiesznego, jak dla lalki, obuwia: pantofelki z białej pruneli, dalej żółte, lakierowane i sandałki płóciennie z rzemykami.

Intelektualizm władcy reprezentuje biblioteka. A jakże! Śród księgozbioru w pięknych, złożonych oprawach, jaśnieje na półeczce: „Robinson Kruzo”, „Stara Baśń”, „Kopciuszek”, „Bibliothèque rose” i bajki Jachowicza, Krasińskiego.

Na ścianach wizerunki chronologiczne królów polskich i pogładowa mapa Polski, z wieżycami kościołów, z wieśniakami w charakterystycznych strojach, z niebieskimi rzekami, zielonymi lasami i czerwonymi kominami fabryk.

W trakcie tym pan Olutek najmiłościwiej zaszczycił już swoją przyjaźnią starego przyjaciela. Raczył podobać się Jego Ekscelencji dzwieczny tik-tak zegarka gościa, a szczególnie scyzoryk, będący zarazem korkociągiem i nożyczkami.

— Niech Olutek poprosi — uczyła go królowa-matka — tego pana, aby został u nas na obiedzie.

— *Plosię* — zgodził się odrazu.

— Kiedy widzi pan Olutek — tłumaczył mu gość — jest tak: na mnie czekają z obiadem w domu, a tutaj nie oczekiwano mnie; więc może zabraknąć zupy dla twojego braciszka i siostrzyczki.

Po chwili zastanowienia zdecydował, z nieopuszczającą go powagą, pan Olutek:

— To niech *Flanio* i *Zosia* pójdą do pana na obiad, a pan *ziośtanie* tutaj.



— Nie — ujęła sprawę królowa-matka — Franio i Zosia nie mogą wyjść na takie zimno z domu. Ten pan u nas zostanie, a zamiast nich — do niego do domu pójdzie niania.

Pan Olutek ścisnął swoją buzię wielkości dwugroszaka tak silnie, aż kąciaki ust w górę mu zajechały, tworząc ogromnie śmieszną podkówkę. Bródka mu zadrżała drobnymi falami, a w pięknych, szafirowych oczach zaszklify dwie łzy, brylantową rosą ściekające po długich, jedwabnych rzęsach.

— Niania nie pójdzie od Olutka — ścisnęła go bałwochwalczo matka, całując go po jego ślicznej, statecznej buzi, po kasztanowatych puklach i po gołych, śmiesznych nóżkach, utoczonych, jak u cherubinków, bambinów, lub na obrazkach świętych — Olutek nie lubi takich niemądrych żartów, prawda?

— *Prawda* — potwierdził ze zwykłą powagą, ocierając sobie kułaczkiem ostatnią, dużą, cichą łzę.

— Mamusia nie będzie już nigdy tak żartowała, moje ty cudo natury. Mój skarb, moja jedyna pociecha i szczęście! Czem Olutek jest dla mamusi? Niech Olutek powie!

Z powodu szacunku, jaki potrafił sobie zaszkarbić, zwracano się do niego zawsze w trzeciej osobie. Zajęty oglądaniem scyzoryka, zaczął wyliczać, w odpowiedzi na pytanie matki, swoje tytuły, bez żadnej próżności, jako stanowisko,

niezależne od jego zasług, lecz tradycyjnie z nim związane:

— *Jeśtem pan Olutek, cudo natuły, mamin skalb, jedyna pociecha i ścieście* — zwrócił się wreszcie w więcej obchodzącej go kwestji do gościa: — *A po cio jest ten kolkociąg?*

— Do odkorkowywania butelek.

— Jakich butelek?

— Piwa, wina, wódki.

— A gdzie *jest* piwo, wino?

— Nie wie Olutek? W kredensie.

— To *dlaczego* — urwał, nie umiejąc sformułować trafnej uwagi. — To *dlaczego* korkociąg nie jest w kredensie? — i zniechęcony błahością wynalazku, powrócił do poprzednio przerwanego zajęcia: ustawiał na stole cynkowych żołnierzy wśród wydobytych z innych pudełek domków, drzew, owiec i wózków.

— A co oznacza ten domek, do którego idą ci żołnierze?

— *To jest sianitarny tomitet.*

— A *dlaczego* te wózki poprzewracane?

— Bo to *jest tataśtłofa.*

— Katastrofa?

— Tak.

— Zapewne to są rzucone bomby?

— Nie, to *jest tataśtłofa* — odrzekł ze swem zwykłym, indywidualnem, stanowczem ujęciem każdej kwestji.

— A kogo ty *najwięcej* kochasz?

— Mamusię.

— A kogo jeszcze?

— Basię i nianię.

— I mademoiselle — odpowiedziała przekornie matka, ucząc go obłudy.

— *Mademoiselle, nie!* — odrzekł niestropiony.

— A dlaczego nie?

— Dlatego, bo nie! — odrzekł, cudny ze swoją stanowczością nie obwijania słów w bawełnę.

Mademoiselle zameldowała, że jest dla niego telefon.

— To zapewne babcia — domyślał się gość, przedłużający swoją wizytę, w zachwycie nad gospodarzem ślicznym i strasznie śmiesznym ze słuchawką telefonu przy uszku.

— Nie — urywał po swojemu, bardzo krótko.

— To nie babcia. To Basia.

— Jaka Basia?

Wytlómaczono gościowi, że pan Olutek upiera się, aby nazywać stale swoją babcię mianem Basi, a babcią nazywa jedynie starą ciotkę ojca.

Trudno było nie przyznać słuszności w tym uporze: 1) „Babcia” wymawia się z powodu obfitości spółgłosek trudniej, niż Basia, 2) pojęcie — babcia — łączy się ściślej z postacią staruszki w niemodnych sukniach, ze stałą charakterystyczną zgarbioną, siwowłosą ciotką ojca.

Natomiast jego właściwa babcia, młoda, piękna, wytworna kobieta, z przesadnie złotymi włosami, tykająca się z jego matką, w całodziennych z córką przyjacielskich przekomarzeniach,

tyczących się kapeluszy, sprawunków, kogo przyjmować, a kogo nie przyjmować i t. d., może być jedynie miłą, kochaną Basią, lub Kasią, ale niczem więcej.

Pan Olutek uważa też ją za drugą mamusię, którą bardzo się kocha, ale znowuż tak bardzo szanować, jak czcigodną staruszkę — to jeszcze doprawdy zawcześnie. Choć „Basia” przepada za nim. Ogromnie lubi fotografować się z nim na jednej karcie i towarzyszyć, wraz z nianią i z mademoiselle jego wyjazdowi w wózeczku w Aleje. Raz nawet uśmieła się do rozpuku, usłyszawszy rzuconą poza plecami kalumnję:

— Patrzcie, pięknej Borskiej po kilkunastu latach przybyło jeszcze dziecko. Byłby już czas doprawdy dać za wygraną!

— Trzeba jej przyznać, że trzyma się znakomicie.

Do białego raiku wbiegli na audjencję, bardzo głośno i z wielkim impetem, 7-letni Franio i 5-letnia Zosia. Mieli miny zziajane i oczy do figlów świejące.

— Bardzo proszę — mitygowała ich matka, ujmując się za swoją świątynią — pamiętać, że nie wchodzicie do stajni.

— My wiemy przecież — recytował Franio, — że Olutek jest jeszcze mały i że trzeba bawić się z nim ostrożnie i nie drażnić się.

— Chwała Bogu, — zdecydowała matka — żeście przyszli wreszcie do rozumu. Pamiętajcie, abyście mu nie dokuczali. Ja muszę wyjść na

miasto — tłómaczyła się przed dziećmi — ponieważ jestem zaproszona na jutro na kolację, a nie mam się w co ubrać.

Mamusia nigdy nie miała się w co ubrać, ponieważ suknie, wypełniające wszystkie szafy, wiecznie „nie liczyły się”. Przepracowana codzienną bieganią za sprawunkami, przymierzała całymi godzinami w magazynach stroje, dobierała kapelusze i etole — niezmordowana w nadzwyczaj zmudnem wyszukiwaniu ubrań gustownych wśród setek, w jej pojęciu, niegustownych. A nic łatwiejszego, w podobnie trudnych zadaniach, nad pomyłkę, opłacaną częstymi zmianami zakupionych przedmiotów, nieraz łzami.

— Czy Olutek chce bawić się z nami? — zapraszała po wyjściu matki Zosia, w której oczach przywiązanie do braciszka łączyło się z odrobiną wyniosłości, przebijającej się jeszcze silniej w obejściu fanfaronującego swoją męskością Frania.

— *Chcę* — kiwnął głową pan Olutek.

Zaczęły się umowy, jaknajwyraźniej dążące, pod pokrywką humanitarnych względów, do wyzysku pana Olutka, o którym, choć był sympatycznym, wiadano doskonale, że był słabym.

Pan Olutek prowadził pertraktacje wojenne z właściwą swojemu umysłowi jasnością, z poczuciem etyki i sprawiedliwości, broniąc się z godnością i ze spokojem od wyzysku, prze-

ciwko któremu, pomimo swojej słabości, jaknaj-  
kategoryczniej protestował.

— Ty jesteś jeszcze malutki, więc ty będziesz koniem, a my stangretami — układali się politycy.

— Ty będziesz kamienicznikiem — proponowała Zosia, — a my nożowcami. Dobrze?

Olutek doskonale pojmował, co znaczy być koniem — i wśród zabawy — kamienicznikiem, wobec niewyrozumiałości nożowców!

— Nie — zaprotestował stanowczo, buntując się przeciwko motywom koalicji, sprzecznym nie tylko z etyką, lecz i z logiką.

— Bo widzisz, ty nie umiesz jeszcze powozić, mógłbyś upaść pod stół.

— I nie umiesz się bić, więc nie możesz być nożowcem.

Wreszcie, ustępując, pan Olutek rozstrzygnął kwestję jaknajlojalniej:

— Ja będę *stangletem* i *nożowcem*, a potem koniem i *kamienicznikiem*.

Zaimponował im swoją stanowczością.

Zgodzili się na ten układ, z niemą umową, aby pożalował swego względnego zwycięstwa. Wyrywali się więc lejcom stangreta; wierzgali nogami i ponosili go, zawadzając o możliwe przeszkody: o kanty szaf, łóżeczka, aż pod kanapę.

A on z zaciśniętą buzią, poczerwieniały z wysiłku, jak burak, trzymając w słabych rączkach lejce, bronił z całych sił swego posterunku, aby



nie dać się, nie zdradzić swej słabości i wyjść z honorem.

Wreszcie wezwano Frania i Zosię na lekcję. Honor pana Olutka był ocalony.

Lecz przypłacił wzruszenie niepewnej walki podniesioną temperaturą, gorącą główką i snem bardzo niespokojnym.

Wezwany lekarz zalecił nieopuszczanie łóżeczka przez ciąg kilku dni.

Po przebytej chorobie pan Olutek był jeszcze przez kilka dni *niegrzeczny* i upierał się z płaczem, aby nie zmuszano go do ubierania się w bardzo niewygodną białą aksamitną sukienkę, której niecierpiał i uważał, że niema sensu w nią się stroić.

W danym momencie pan Olutek był zajęty wertowaniem nowiutkiej książki, którą dziś otrzymał. Były to bardzo pięknie ilustrowane i ogromnie zaciekawiające go bajki Andersena.

Rodzice wybrali tę ważną chwilę, aby, przerywając to zajęcie, meldować mu wizytę nie byle kogo: oto najgrubsza ryba z całego stawu miała, książkę Iksiński, zaznajomiwszy się z rodzicami pana Olutka w jakiejś filantropijnej instytucji, uczynił zaszczyt złożenia im wizyty.

Ojcu Olutka, dla przypochlebiania się z jakichś powodów żonie, wpadła do głowy niefortunna myśl pochwalenia się przed księciem panem Olutkiem.

I naraz książkę zjawia się w białej rezydencji. A ojciec pana Olutka, honorując swego gościa,

objaśnia synowi, iż ksiązę pan jest o tyle uprzejmy, iż pragnął poznać Olutka. Pan Olutek, przejęty Andersenem, a wogóle wskutek niedyspozycji w nieświetnym humorze, nie uważał tych odwiedzin wcale za wielki zaszczyt i nie solidaryzował najwyraźniej ani z pomysłem rodziców, ani z ich snobizmem. Pojmował, że należy przyjąć wysokiego gościa — rzecz prosta — grzecznie, lecz bez przesady.

„Gruba ryba” wyrwała się jednak zupełnie nie w porę ze swoim protekcyjnalnem pytaniem:

— I cóż, mój przyjacielu, podobam ci się?

Wyrażenie „przyjacielu”, z jakim nikt do pana Olutka się nie zwracał, zraziło go ostatecznie do „grubej ryby”. Postanowił też nie ukrywać swego chłodu, okazując, jak to czynił w ciągu całego swego trzyletniego życia, najwyższą pogardę dla wszelkiego rodzaju snobizmu i obłudy.

— Podobam ci się? — powtórzył swoje pytanie ksiązę pan.

— Nie za *duzio* — odrzekł wymijająco.

— Dlaczego ci się nie podobam, mój mały przyjacielu? — zapytała „gruba ryba” z nie szczerym humorem.

— Bo *pan ksiązię jest bzdki* — odrzekł pan Olutek, nie patrząc wcale na gościa, zajęty demonstracyjnem wertowaniem książki.

Ojciec, bardzo zły, wzruszył poza plecami

gościa ramionami, rzucając na żonę sarkastyczne spojrzenie, jak pięknie wychowuje dzieci.

A u mamusi niezadowolenie łączyło się z radością, że jednak panu Olutkowi byle kto nie zaimponuje.

I bardzo słusznie! Bo ostatecznie książę jest tylko księciem, podczas kiedy jej syn jest panem Olutkiem, jedynym skarbem, cudem urody, szczęściem.

„Gruba ryba” ratowała sytuację rzucanemi w stronę Olutka dowcipkami, zupełnie z powodu ukrywanego złego humoru i najwidoczniejszego fiaska, nieudanemi.

Dowcipy te, jedne gorsze od drugich, zupełnie już pana Olutka znudziły. I, zabierając się do wertowania nowej książki, zamknął audjencję zimno, aby się gościa pozbyć:

— *Psieplasiem. Nie mam ciasiu.*

W nocy mamusia powróciła z zabawy w jak najgorszym humorze. I dla pokrzepienia serca pobiegła, jak zwykle w takich razach, w wieczorowej, jasnej, jedwabnej sukni i w perłach, do pana Olutka.

Przez chwilę wpatrywała się, jak w świętość, w jego przytuloną do poduszki, śpiącą twarzyczkę. Potem zaczęła całować go ostrożnie, aby go nie zbudzić; a potem, z zapomnienia, coraz goręcej po buzi, po oczkach, po szyjce, po nóżkach. A on, tuląc się do niej, recytował prawie przez sen:

— Pan Olutek *jeść ciudo* ulody, *jeść* mamusi *ścięście*, *skalb* i *pociecha* jedyna.

Mamusia miała łzy w oczach. Czuła się dziś bardzo nieszczęśliwa. Wszystkie smutne myśli kinematograficznym potokiem płynęły po jej marjonetkowej główce:

— Noga moja już więcej w ich domu nie zostanie. Kiedy zaprasza się gości, należałoby — zdaje się — pamiętać o tem, jak mają czas spędzać. A nie zasadza się do kolacji przy jakimś nieznanym hreczkosieju ze wsi, który nie wie o Bożym świecie i nie trudzi się, (dla lepszego trawienia) na oświadczenie sąsiadce choćby tego, że wiosna jest najpiękniejszą porą roku. I nie zaprasza się tak niekulturalnej młodzieży, której się wydaje, że poza młodemi panienkami nie ma już innych istot, mających pewne warunki do podobania się w salonie. Prawda, że Klara zupełnie się zapuściła i gust całkowicie straciła. To będzie już ostatnia tualeta, jaką u niej obstalowałam. W jej, zbyt mało wyciętych, niezgrabnych sukniach, każda kobieta musi wyglądać, jakgdyby miała już sto lat. Choć gust tej przebłydłej pani Reńskiej równie konkurso- wy, jak jej cnota — nie nadaje się także do nagrody Montyona! Suknia koloru *vert de mer* z żółtymi różami! Czy słyszał kto kiedy coś podobnego? Poprostu jajecznicą ze szpinakiem! Wogóle, jak można zapraszać tak wstrętnie wymalowaną babę z jej dekoltem po pas, z nogą założoną na nogę pod sufit, w kłębach dymu nie-

ustannych papierosów, jak stara lokomotywa! A jak się przytem ohydnie perfumuje. Czuć od niej o milę angielskim składem aptecznym. Ale przepraszam! Prawda. To jest przecież gust mego męża, donżuana od siedmiu boleści, nie umiejącego zupełnie zachowywać się w salonie! Nie będę przecież zazdrosną o lada starą kokotę, lecz sądzę, że zasłużyłam sobie chyba jeszcze na tyle szacunku, aby uwodził, w razie ochoty, takie wydekoltowane wiedźmy w zamkniętym gabinecie restauracyjnym, lecz nie w mojej obecności, w salonie! I jak można przyjmować w domu, mającym pretensje do uczciwości, kobietę, która tak się zachowuje i tak dekoltuje!

Rozpłakała się. Przypomniała sobie wszystkie swoje lilipucie troski, dziecięce, karle zawody, wszystkie ukłócia szpileczek, nie mniej dotkliwe od armat i szrapneli.

Cały świat wydał jej się obłudnym, zimnym, złym, aż do okrucieństwa.

— Swoją drogą — otarła koronkową chusteczką zaczerwieniony od płaczu nosek — to wstyd nie znosić tak papierosów, jak ja. Trzeba będzie koniecznie wynaleźć jakiś najłżejszy gatunek tytoniu, któryby nie krztusił tak w gardle i nie mdlił.

Spojrzała przez łyżę na wyciągniętego w swoim białem, koronkowym łóżeczku pana Olutka, ze śpiącą, zaczerwienioną od snu główką, opartą na piąstce, z utoczonemi, nagimi nóżkami, z których zrzucił jedwabną kołderkę. Wyglądał,



jak zdjęty żywcem z obrazów renesansowych aniołków Giotto lub Perugina.

Zaczęła analizować jego charakter, który przyniósł ze sobą na świat, ze wszystkimi zaletami dobroci, prawości, statku i pogody, zapożyczonej widocznie od aniołków, z którymi musiał zapewne bawić się kiedyś w niebie.

Pomyślała o tych wielkich światach, w których szybował wśród miliardów gwiazd — sprowadzony w najcyniczniejszy sposób na jedną z najmniejszych planet, tak zwaną ziemię.

I naraz znalazł się wśród niższych istot, zwanych ludźmi, którzy, fanfaronując, nadymają się we własnej megalomanji z powodu wynalazków swoich *quasi* wielkich rzeczy do małych interesów: wind do niepotrzebnie wysokich domów, telefonów do plotek i kinematografów. Poza tem ci *quasi* królowie świata są ciemni, jak tabaka w rogu i nieświadomi co do nie byle jakiego drobiazgu: oto mędrcy ci nie wiedzą, skąd się wzięli, poco ich na ziemię sprowadzono i dokąd pójdą? Tylko tyle! Ha, ha! Przyszło jej na myśl, że i ona była kiedyś, jak pan Olutek, czystem, bez plam, dzieckiem. Zresztą nie ona jedna tylko, lecz najostatniejszy opryszek i każda kokota byli kiedyś, jak łąza, czystymi.

I te wszystkie, wykradzione z nieba, dary, które pan Olutek sprowadził na ziemię, wśród okrutnych walk o byt, wśród zepsucia, konwencjonalnego fałszu i nabytej ugody z najgorsze-



mi ideałami i instynktami — i on kiedyś, jak wszyscy dokoła śmiertelni — zbruka w rynsztokach życia, zatraci w norach, zagasi w bagnach. Przyniesione z nieba skarby dobroci, szczerości i rozumu — wymieni na wartości, mające kurs w obiegu: na monetę obłudy, złości i głupoty. Opuści ją kiedyś dla swojej kochanki, którą porzuci dla swojej żony, zdradzanej następnie z nowemi kochankami.

Będzie procesował się, jak rodzeństwo jej męża, z Franiem i z Zosią o część spadku po rodzicach. Będzie przymilał się możliwym, odwracał od upośledzonych. Będzie dla kariery lub snobizmu, zmieniał przekonania i będzie kłamał, kabotynizował i udawał.

— *Ciego ty płaciesz?* — pytał zbudzony pan Olutek.

— Olutek się ożeni, prawda?

— *Ozienie* się.

— I opuścisz mamusię, prawda?

— Nie. Bo ja się *ozienie* z mamusią.

I, zdecydowawszy to nieodwołalne postanowienie, odwrócił się wnet od niej na drugi bok i zasnął.

— A rzeczywiście! Głuptasek mój najdroższy! — Śmiała się przez łzy, bardzo gorzkie, nieuspokojona jego pociesznem postanowieniem, przekonana, że wszyscy ją na starość opuszczają, bo wszyscy są źli, niesprawiedliwi, obłudni i — co najgorsze — zdradliwi. Przypomniała sobie dziecięce fotografie męża, swego krzywdziciela

(przez którego tyle łez dziś wylała) w białej sukience z jasną niewinną główką, zupełnie podobną do Olutka. Niewiniątko w białej sukience! Stary lampart! I pamięta swoją własną podobiznę z niebieską wstążką, z warkoczykami. Niewinność jej męża i jej samej! He, he! Jakżeż życie komplikuje, subtelizuje, a mówiąc prosto, psuje dusze ludzkie!

Przesadnemi pocałunkami znowuż zbudziła śpiącego Olutka: Czy wiesz, czemu cię tak kocham? Bo jesteś taki prosty, nieskomplikowany, głupiutki. Nie taki, jak my wszyscy.

Usłyszała śmiech, który wydał się jej śmiechem Olutka. Głowa ją bolała. Przy kolacji piła za dużo szampana.

— Czego się śmiejesz, głuptasku? — szumiało jej w myślach.

I usłyszała, jak śmiechowi Olutka wtórowały jeszcze inne jakieś głosy.

— Co to jest?

— To chór dusz niesubtelnych i nieskomplikowanych, czyli złem nie zachwaszczonych: Śmiech aniołków, kwiatów i dzieci.

— Co to za głosy? Czy to w uszach tak mi szumi? — zakonkludowała bardzo senna, zamykając oczy.

To był chór dusz prostych, t. j. niby naiwnych, a w gruncie (z powodu braku złości) mędrszych, bo pogodniejszych i wyrozumiałszych, żyjących bez grzechu zawiści i próżności.

I ten chór ptactwa, kwiatów i dzieci ujął się za Olutkiem:

— Uważasz go za głuptaska dlatego, że Olutek nie chciał stroić się w niewygodne szaty, łaścić do niemiłego nadętego księcia pana i z pewnością nie usiłował by naśladować w salonie złego ułożenia pani Reńskiej. He, he! Ludzkie, już nie dziecięce dojrzałe dusze! Boki zrywać!

Lecz matka Olutka, pewna swego rozumu, nie słuchała już tych dziecięcych śmiechów, cała pogrążona w myślach motylej swojej duszy:

— Nie będę używała więcej francuskich perfum. Są zbyt słabe. Nie można ich porównywać z angielskimi.

Pomyślała o mężu:

— Nie radzę mu zbliżać się jutro do mnie z czułościami. Usłyszysz takie *verba veritatis*, o jakich mu się nie śniło.

Po chwili, otuliwszy kołderką nagie nóżki pana Olutka, zastanawiała się już prawie przez sen w fotelu przy łóżeczku syna:

— Ciekawa jestem, gdzie się ta umalowana wiedźma ubiera? Podobno u Fifiny, którą wszyscy bardzo chwalą. Spróbuję raz obstalować u niej suknię. Oczywiście nie zieloną z żółtymi różami; zastanowię się jeszcze. Bo niektórzy twierdzą, że najbardziej twarzowe suknie można znaleźć u Biszety.

— Naturalnie — wtrąciły się występujące z chóru ptactwa, kwiatów i dzieci — solidaryzujące z nią strojne, w wykombinowanych barw-

nych swoich szatach motyle, które niewiadomo, skąd się tu wzięły:

— Naturalnie. Warto się zastanowić. To bardzo ważne: Biszeta, Klarisa, czy Fifina? Bo jak cię widzą — tak cię piszą.

A najstarszy, najgłupszy motyl zakonkludował najidjotyczniejszą prawdę:

— Oczywiście. W życiu trzeba błyszczeć.

---

BEZ SERCA

Norscy uchodzili ogólnie za ludzi najszcześliwszych pod słońcem. Faktem nie do zaprzeczenia, iż Norscy posiadali pewną, modną obecnie, manierę optymizmu. Stosując się do owej manjery, damy dzisiejsze zamiast dawnego, wyszłego z mody trupio - białego pudru — różują się. Jednocześnie znikły z kretesem staromodne choroby w rodzaju interesujących zemdleń, spazmów; zginęły orzeźwiające sole, chusteczki do lez koronkowe i wachlarze. Powymierały lub wyzdrowiały wszystkie wzdychające czule *femmes incomprises*. Podług nowego kursu — podkreśla się jedynie atuty szczęścia, a zamilcza o plamach i odwrotnych stronach medalu, bez których niema życia na tej planecie.

Manjera optymizmu, jak i wszystkie dawne sztuczne manjery, obawia się prawdy, jak diabeł święconej wody, zowiąc ją cynizmem. Te wszystkie dawne „niezrozumiane“, wzdychające kobiety, ściśnięte w swoich obcisłych gorsetach i załzawione — opychały się ongi zrazami z ka-



szą dopiero po wyjściu ostatniego gościa. Pod dzisiejszemi, sztucznemi rumieńcami kłamliwego zdrowia i pogody — jęczą nieraz ukrywane tragedje i bóle istnienia.

Norscy — poza manjerą ukrywania kolców życia — byli faktycznie od natury pogodni — i o tyle o ile — dość zdrowi fizycznie i moralnie. Wogóle w życiu nieźle im się działo. Poznali się ze sobą w biurze, w którym ona przepisywała na maszynie korespondencje, a on był buchalterem. Podobali się sobie głównie z powodu różnicy poglądów, przekonań i usposobień. Jemu imponował głównie jej statek, ład i sprycik życiowy. Ona litowała się nad jego roztrzepaniem i niezaradnością wobec eksploatujących go stale lichwiarzy, *quasi* przyjaciół i służby. Postanowili jednak pobrać się dopiero, aż ich stosunki nieco się poprawią.

On miał regulować długi kawalerskie. Ona czekała, aż młodsza siostra pensję skończy i nauczycielką zostanie. Postanowiła jednak po ślubie biura nie rzucać.

Byli oboje zdolni i pracowici. I po kilku latach zdobyli stanowisko dość poważne; a ona, jak na kobietę — wyjątkowe. Bo dzięki swojej wytrwałości zdobyła bez pomocy nauczycieli znajomość obcych języków i prowadziła dość poprawnie francuską korespondencję biurową.

Pobrali się wreszcie, podkreślając ustawicznie, jak się czują szczęśliwi. Miała już wtedy około trzydziestki, on był starszy o lat dziesięć.

Ludzie zazdrościli im ich ładu życiowego, ich obiadów na pensjonacie, w których wychwalali ustawicznie różne zajądane smakołyki: bigosy, leguminy, a nawet indyki i kremy w niedzielę. Zwierzali się też wszystkim z rozkoszy swoich dwóch pokoiów z bardzo gustownemi w istocie, a nawet dość kosztownemi mebelkami.

Mieszkanko to stało się oczkiem w głowie Norskiej, która w godzinach pobiurowych nie rozstawała się ze ściereczką od kurzu. Od dziecięciu już lat mieszkanka tego nie zmieniali, zamykając oczy na jego wady — nienasyceni swoim balkonem, wychodzącym na dachy sąsiednich domów, a ukwieconym własnemi ich rękami, jak oranżerja. Spędzali na nim śród bluszczu, rezedy i pelargonji niedziele przy herbatce i tygodnikach — w wygodnych, koszykowych fotelach.

— W korcu maku się dobrali — twierdzili ogólnie znajomi, podrażnieni wkońcu ich programowym optymizmem, tak zalecanym obecnie dla pokrzepienia duszy bliźniego. — Istni dwaj starzy kawalerowie!

— Wart Pac pałaca, a pałac Paca.

— Oni muszą siedzieć na grubych pieniądzech — zdecydowali wreszcie przyjaciele białemi od gniewu głosami.

Krytykowali ich skąpstwo, dla którego pozbawiają się służby i prowadzenia własnej kuchni w domu. Jednocześnie zazdrościli im owych smakołyków na pensjonatach i braku kłopotów

domowych. Gubili się przytem w logice, ponieważ, zarzucając im skąpstwo, podkreślali jednocześnie sybarytyzm i rozrzutność Norskich.

— Wyrzucają pieniądze w błoto na ciągle teatry, koncerty, kinematografy.

— A te ich coroczne urlopowe podróże do Włoch, do Szwajcarji, do Paryża!

— A jak ona się stroi! Suknie, niby ciemne i skromne; a po gatunku i kroju znać, że zakupywane w najdroższych magazynach.

— Nie sztuka — konkludowano — mieć wiecznie dobry humor i zadowolenie z siebie i ze świata całego, kiedy nie ma się ani kłopotów, ani bachorów, ani serca.

Faktycznie wszyscy otaczający Norskich — mieli już po szyję tego przesadnego ich optymizmu, działającego im bardziej na nerwy od wyszłej z mody manjery niezadowolenia.

A Norscy stanowczo „zgrywali się” w nowym kursie pod dewizą: *faire bonne mine à mauvais jeu* — przekonani, że ten optymizm czyni ich sympatycznymi. Bo w gruncie życie wcale różami im się nie słało:

Te „grube pieniądze, na których siedzieli” — były w istocie bardzo nieznacznym, często naruszonym, ciężko uciulanym kapitalikiem. Biuro ich nie było też wcale rajem. Wprost przeciwnie. Choć niby nieźle płatni, zapracowywali się w biurze, zmuszeni nieraz do odrabiania zaległości wieczorami w domu. A stosunek ze zwierzchnikiem skąpym, niewyrozumiałym i nie-

miłym — ciążył im coraz bardziej, bez żadnej nadziei awansu lub możliwości znalezienia gdzieś indziej sympatyczniejszego zajęcia.

Choć „w korcu maku się dobrali” pożycie ich nie było — rzecz prosta — po dziesięciu latach — wiecznem gruchaniem czułej pary gołąbków. Przeciwnie! Ciężyla im dość często owa różnica usposobień i charakterów, która ongi w formie odrębności i zagadkowości — tak ich zaciekawiająco nęciła — owa wieczna sfinksowość, która tak ciągnie ku sobie kochanków, a rozdziela murem chińskim małżonków.

Bardzo taktowni oboje, z miłości dla spokoju — powstrzymywali się z całych sił od wzajemnych wybuchów, przekładając nad wojnę również trudną dyplomację.

— Pojmuję twoje upodobanie do tych wiecznych papierosów, zakazywanych ci przez lekarzy — wyrwała się nie w sile zapanować nad sobą. — Masz przynajmniej okazję do rozrzucania popiołu po biurku, dywanie, pjaninie i stolikach..

— Jednocześnie czynię zadość twojemu upodobaniu — ironizował podrażniony jej pasją porządków — możesz całe życie poświęcić na sprzątanie.

— Rzeczywiście! Przy mojem stałem próżniactwie i braku innych zajęć... — bąknęła pod nosem, zamykając z wysiłkiem wybuch ust na cztery spusty.

Pozatem czuła do niego jeszcze i inne żale: Nie była — rzecz prosta — zazdrosną o 50-letniego dziada, jak go nazywała. Ale oburzały ją te wieczne, mimowolne uśmiechy jego oczu do wszystkich przechodzących na ulicy nieznanomych kobiet.

Była wobec tych jego długich kawalerskich nawyknień — zupełnie bezradną. Protestowała tylko kategorycznie przeciwko tym jego oglądanom się za przechodzącymi kokotami, kiedy znajdował się na ulicy w jej towarzystwie.

Czemuż nie pomyślał w swoim nietakcie, że i jej mógł się może podobać niejeden z przechodniów? A ona jednak nie strzelała na ulicy oczami. A gust ma lepszy stanowczo od niego. I z pewnością nie oglądałaby się za wystrojonymi nożowcami i alfonsami.

Lecz najwięcej irytowała ją jego pewność co do braku jej temperamentu i jego bezgraniczny brak zazdrości, kiedy opowiadała mu o swoim powodzeniu w salonie, lub na ulicy. Jego sceptyczne uśmiechy z tego powodu i apatia w dyskusjach o wybór fasonu kapelusza, lub koloru nowej sukni. Miał wtedy minę człowieka, który ma ochotę machnięciem ręki zamanifestować, że te wszystkie faramuszkki na nic się nie zdadzą.

Była pewną, że się myli, że — pomimo swojej czterdziestki — choć nigdy nie była piękną, wygląda jeszcze wcale nieźle w swoim wiecznie świeżym, gustownym stroju, ze swoją dobrą figurą, zręcznymi ruchami, ze zdrowiem, zakon-

serwowanem wskutek nieżałowania nigdy ani wody, ani mydła.

Domyślała się, że mąż jej nie zdradza; lecz oburzał ją fakt, iż z powodu dawnych motylkowych nawyków — ma ogromną ku temu ochotę.

Wstrząsała ramionami na ohydę jego męskiego gustu, którego przedmiotem były córki stróżek lub praczek — źle zbudowane, najfatalniej malowane i najniegustowniej wystrojone.

— Wszyscy jednogłośnie mi przyznają, że jestem wesołą, ożywioną i nie głupią. A on — co? Zapuszczony mruk i przekora, z którym stanowczo nie każda żona by wytrzymała.

Odczuwała tę odrębność jego duszy tem dotkliwiej, iż poza nim — w domu nikogo nie miała i że z musu przedstawali wiecznie ze sobą sam na sam, ustępując sobie wzajemnie — o ile tylko cierpliwości starczyło.

Rzecz inna, gdyby były w domu dzieci, których z początku małżeństwa ze względów budżetowych nie życzyli sobie, a w następnych latach na zawołanie już się nie zjawiały.

Lecz wskutek ich wspólnej pasji brawurowania przed światem, jakie życie jest piękne i jak im dobrze na świecie — nie wspominali nikomu ani o własnych żalach, ani o tem, że na pensjonatach kuchnia faktycznie się zepsuła i że jadać poza domem — nie jest wcale wygodnie.

Tembardziej nie przyznałiby się przed rodzoną matką do niespełnionego marzenia posia-



dania dziecka, o którym myśl zapełniłaby im pustkę życia.

I zdawało im się, że jedynym celem istnienia, jaki im jeszcze pozostał — była ambicja wzbudzania zazdrości w innych. I ten udał im się w zupełności.

Optymizm Norskich oburzał teraz całą opinię, wyklinającą przecież przeczulonych pesymistów, którzy ducha nie pokrzepiają. Tak ów z bajki młynarz z osłem i z synem nie mógł w żaden sposób zadowolić nigdy przechodniów.

— Ach! ci nietaktowni gruboskórzy dorobkiewiczze z ich wiecznem samochwalstwem i z zachwyтами z powodu kariery, którą udało im się w życiu zrobić! — wybuchali już teraz wszyscy bez wyjątku.

A w gruncie te zachwyty Norskich były coraz mniej uzasadnione. Przedewszystkiem podupadli znacznie na zdrowiu. Pozatem wszystko wiedzący zawsze przyjaciele — prześlepili jednak w swoim pesymizmie zazdrości — kłopoty rodzinne, o których Norscy — oczywiście — nikomu nie wspominali.

Z siostrą, która i pensji nie ukończyła i na egzaminie nauczycielskim się ścięła i w biurze była do niczego — Norska miała wieczny kłopot. Szczęściem, udało się wydać ją od biedy za męża, za szwagra: rodzonego brata Norskiego.

Nie był wprawdzie orłem, lecz młodzi małżonkowie mogli jakoś istnieć przy małej jego posadce i przy posażku, powiększonym o część

spadku po matce, którego zrzekła się Norska na korzyść młodszej siostry.

Młoda para żyła ze sobą nieźle, choć żona posiadała wszystkie wady kobiety w gruncie nie-  
złej, lecz nietaktownej i głupiej. Była upartą,  
kłótniawą i wiecznie niezadowoloną. On był po-  
rywczy, nerwowy, ze zdrowiem bardzo niepew-  
nem — w ciągłych lekach, coraz częściej zazię-  
biający się i kaszlący.

Lecz choć kłócili się całemi dniami —  
z dziećmi szło, jak z płatka. Co rok — prorok.

Starzy Norscy opłacali im komorne, zakupy-  
wali ubranka dla dzieci, uiszczali często honora-  
rja lekarza i rachunki apteki.

Pozatem w niczem im nie pomagali. Cóż dzi-  
wnego? Ludzie bez serca!

Młoda matka zarzucała głównie siostrze, że  
śród odwiedzin, wystrojona — odsuwała od sie-  
bie dzieciaki z zamorusanemi wiecznie rączka-  
mi, z obawy, aby jej sukni nie zabrudziły. I wy-  
mawiała wciąż młodszej siostrze, że dzieciaki jej  
są zbyt hałaśliwe, karane nie wtedy, kiedy nale-  
ży, że mieszkanie jest nie wentylowane i nie tak  
świejące, jak u nich!

Lecz czegoż żądać od egoistki, która nigdy  
własnych dzieci nie miała?

Wreszcie po sześciu latach pożycia małżeń-  
skiego, przy piątym dziecku — młoda matka ni  
stąd ni zowąd umarła. Mąż jej jednocześnie  
dogorywał w sąsiednim pokoju, wypływając  
w suchotniczym kaszlu resztki płuc.

Po ich śmierci dostało się Norskim w spadku — czworo dzieci. (Ostatnie wnet po przyjsciu na świat zmarło).

A że byli bez serca — ku oburzeniu plotkujących poza ich plecami poczciwych znajomych i przyjaciół — nie zgodzili się za nic w świecie brać całej dzieciarni do siebie do domu.

— Gdybyśmy tylko mogli — wymawiali się ze łzami krewni z sercem — nie wahalibyśmy się jednej sekundy. Cóż? Kiedy dochody nam i tak nie wystarczają, ponieważ nie jesteśmy takimi sknerami i kutwami, jak ci, którzy boją się o swoje piękne mebelki!

Lecz Norscy, pomimo plotek, nie zmieniali nigdy powziętej decyzji.

Oświadczyli kategorycznie zaraz w pierwszej chwili, że zbyt zajęci w biurze — nie mogą podjąć się mordęgi zajmowania się bachorami w domu.

Umieścili więc dzieciarnię w jakimś znajomym dworku na wsi, przeznaczając na ten cel czwartą część swoich rocznych dochodów.

Wynajęli dla siebie za to mieszkanko tańsze i mniejsze, już bez ukochanego balkonu. Wykreślili też z budżetu teatry, koncerty i kinematografy, a w pensjonacie jedną potrawę ze swego obiadu. Porą urlopową — zadawali się teraz — zamiast dawnymi zagranicznymi podróżami — krajowymi letniskami.

Kiedy dzieci już dorastały, umieścili je dla nauki na prowincjonalnych stacyjkach; dla

oszczędności też w małych miastach musiały kończyć szkoły.

Przyjaciele, spotykając biedne sieroty wśród świąt w domu Norskich — litowali się ze łzami w oczach, pomimo doskonałego wyglądu młodej panienki i trzech chłopców:

— Czy widzieliście — szeptali po kątach — sukienczykę tej małej? Poplamiona, nicowana, przerabiana! A buty biednych chłopców — zelowane i łatanie. Aż serce się kraje!

— Czegóż żądać od kutwy i sknery.

— Nie pojmuję, jak można być takim egoistą!

Sieroty wspominały zawsze ze łzami zacych rodziców, wyrastających wśród ich snów w błękitnej aureoli bez jednej chmury.

Faktycznie nie pamiętali tych „dobrych“ rodziców z bajki, którzy w istocie sprowadzali dzieci na ten świat *pour passer le temps*, bez frasunku o ich losy. Za to wujostwa, „którzy siedzą na grubych pieniądzach i niczego sobie nie żałują“ — bardzo nie lubili.

Uczyli się — należy im to przyznać — doskonale. Choć, aby nie przeszkadzać sobie w nauce — uparli się nie przyjmować żadnych zarobkowych pozaszkolnych ciężarów. Najstarszy po skończeniu gimnazjum postanowił kończyć matematykę we Lwowie. W rok potem młodszy wstąpił do politechniki w Bernie. A wkrótce siostra ich po ukończeniu pensji, nie chcąc sły-

szeć o dawaniu lekcji — uparła się, aby kończyć wydział filozoficzny w Krakowie.

Norscy przeznaczali już teraz nie jedną - czwartą, lecz jedną - trzecią ze swoich dochodów na kształcenie, nie licząc innych nieprzewidzianych kosztów dodatkowych.

Pomimo ich optymizmu i wiecznej *bonne mine à mauvais jeu* — pupile zaczęli im już trochę ciężać. Czuli się już zmęczeni pracą, a ich kult ładu życiowego raniła myśl, że na czarną godzinę nie mają już złamanego grosza z uciulanego kapitałiku.

Raziła ich też niewdzięczność wychowawców, a głównie ich niewyrozumiałość i nieuwzględnianie ciężkości ponoszonych dla nich ofiar.

Ostatnio rozgniewało ich postanowienie najstarszego siostrzeńca, który zdecydował po ukończeniu we Lwowie matematyki — studjować w Petersburgu języki wschodnie, ponieważ jedynie czuje zamięłowanie do kariery dyplomatycznej. A inny zawód bez zamięłowania — złałby mu życie.

A młodszy także, bojąc się, jak ognia, zawodowej pracy w fabryce — postanowił po skończeniu politechniki w Bernie doktoryzować się jeszcze w Belgii.

— Wobec rodzonych dzieci — zdecydował Norzki — nigdy nie zgodziłbym się na podobne grymasy. Uważają mnie za Krezusa.

— Trudno odmawiać im nauki — broniła ich Norska.

— Do końca życia nie spadną nam z karku — utyskiwał stary.

Drżeli teraz o ostatniego 15-letniego siostrzeńca, który miał dziś właśnie wracać z egzaminów. Norska, przeczytawszy jego cenzurę, klasnęła w dłonie:

— No, nareszcie! Chwała Bogu! Choć jeden nam się udał.

— Co? Znowu same piątki? — wystraszył się stary.

— Gdzież tam! Spójrz! To kochany chłopiec! Same stopnie niedostateczne! Odda go się do szkoły rzemieślniczej; przynajmniej jeden wyjdzie na ludzi.

Panienka, której pozostało jeszcze trzy lata do skończenia filozofji w Krakowie — wzruszyła pogardliwie ramionami.

Czuła tego dnia specjalny żal do ciotki, która podarowała jej swoją starą suknię, a sobie sprawiła nową. Sierota uważała, że byłoby właściwszem, aby starzy skwitowali już z pretensji. Piękna suknia jest z pewnością odpowiedniejszą dla młodej panienki, niż dla starej baby. Nie bardzo wysilili się też na ostatnią gwiazdkę.

— Mogli byli zdobyć się na coś lepszego.

Sieroty lubiły plotkować po kątach na starych:



— Wstydu nie mają. W całej naszej korporacji w Bernie nikt nie otrzymuje tak skąpych zasiłków — utrzymywał starszy, wyglądający jak pączek w maśle.

Zaczęli opowiadać wesołe facecyyjki z życia burszowskiego. Prześladowali młodszego brata z powodu jego złego wyglądu.

— Cóż dziwnego? Przy tak skromnych zasiłkach.

— Gadaj zdrów! — roześmieli się starszy brat i siostra. — To nie z powodu skromności wyglądasz, jak z krzyża zdjęty.

Wiedzieli, że to skutki zbyt gorącego serca i uczuciowości. Powrócili do obmawiania starych.

— Wiecie — oburzała się przed braćmi studentka uniwersytetu — ciotka ucieszyła się, jakby ją kto na sto koni wsadził, że Janek nie chce się uczyć i że będzie można oddać go do terminu, który nie będzie ich kosztował.

— Cóż dziwnego? — wyrwał się zbyt głośno kandydat na dyplomata. — Taka egoistka bez serca!

Norska z drugiego pokoju usłyszała ten epitet.

— Nie mam serca? Oczywiście! — skonstatowała sama przed sobą. — Inaczej czyż nie martwiłabym się, że mąż mnie zdradza? Bolałabym też, że nie mam własnych dzieci. I noca mi śniłabym, że życie mnie zawiodło! Nie mam serca! Dlatego też nie radują mnie ani dobre

stopnie moich pupilów, ani pocziwość zwierzchnika biurowego, ani życiowe wygody, w jakich opływam. Nie mam serca! Dlatego nie martwi mnie oziębłość moich siostrzeńców. Dlatego czuję się tak wiecznie zadowoloną ze wszystkiego: z przeszłości, z teraźniejszości i z zapewnionego jutra! Wiecznie pogodna i wesoła...

Rozpłakała się naraz zupełnie nieoczekiwanemi, despotycznemi, bardzo tkliwemi łzami, których w żaden sposób w piersi zdusić nie mogła.

Zdumiona tym zalem zaczęła badać swoją duszę:

— Cóż to za beki? — roześmiała się przez łzy, które coraz uparciej z jej oczu płynęły. — Czyżbym ja miała w istocie serce? Rzeczywiście! — ironizowała swój ból nic nie mówiącym frazesem: — Jeszczeby tylko tego brakowało!

W ironji tej przebijało zadowolenie najpiękniejszego rodzaju ambicji: Ludzie ją oczerniali: Nie była szczęśliwą: Miała serce!

Lecz i pod tym względem miała już wkrótce ogarnąć ją znów nowa wątpliwość. Bo jej sierotom w życiu faktycznie poszczęściło się. Starszy matematyk uzyskał dzięki jakiejś poważnej naukowej pracy docenturę we Lwowie. A młodszy po skończeniu politechniki został vice-dyrektorem przedzalni w Zawierciu. I tamże wydał bardzo szczęśliwie za mąż siostrę za jakiegoś podwładnego swego inżyniera. A naj-

młodszeemu bratu wyrobił małą posadkę w sąsiedniej fabryce.

Sieroty dość oschle podziękowały listownie swoim opiekunom za wieloletnie miesięczne zasiłki, które odtąd nie były już żadnemu z nich potrzebne, nawet najmłodszeemu na skromnej posadce. E basta!

Starzy obrzucili się spojrzeniem, w którym o! dziwo — tkwiło jednak mniej radości, niż ta wyczekiwana od tak dawna wiadomość sprawić by powinna.

— Teraz możemy już spokojnie umrzeć. Nie jesteście już nikomu potrzebni — zawyrokował grobowo stary.

— Wolałbyś, aby nigdy nie spadły nam z karku?

— Z tobą nie można wcale rozmawiać — wyszedł z pokoju, brutalnie trzaskając drzwiami.

— Swoją drogą — zastanowiła się w jeszcze gorszym, niż on nastroju — on ma słuszość. Komu my będziemy już teraz potrzebni na świecie?

— Więc ja bym wolała — badała tajniki swojej duszy — aby im źle w życiu poszło, specjalnie, aby mózgi im pomagać i paradować z tego powodu we własnej opinii swoim dobrem sercem? Czy nie tak?

— Ależ takie dobre serce — zgromiła się w końcu — to przecież szczyt egoizmu. Lecz w takim razie i cały najwznioślejszy altruizm

jest poniekąd także swego rodzaju egoizmem, bo daje egoistyczne zadowolenie szczycenia się przed samym sobą swojemi dobrymi uczynkami i ofiarami. A na nic jeszcze bardziej szczytnego — już ludzie na ziemi zdobyć się nie mogą.

— I tylko chyba tam w niebie może kursować zupełnie czyste złoto bez domieszki aljażu. Ach! Niebo, niebo! Dla kogo ono, gdzie i kiedy? — ziewnęła bardzo zmęczona przynoszoną do domu z biura wieczorową robotą. I ani spostrzegła, jak się zdrzemnęła. A potem wnet znalazła się w niebieskim salonie w obłokach, wśród najwytworniejszej socjety aniołów, którzy bardzo grzecznie w jej wątpliwościach ją uświadamiali:

— O! Na tego rodzaju egoizm, jak pani, godzimy się w zupełności. Bo my tu w niebie jesteśmy łagodniejszymi sędziami, niż wy na ziemi. Nawet zamierzamy w tym celu przedłużyć dla nieboszczyków semestr kursów wyższej inteligencji w czyścicu, aby nowi kandydaci, dostawszy się po zdaniu egzaminów do nieba, nie zanieczyszczali już nam atmosfery obłoków niewykarczowanemi dostatecznie resztkami ziemskiej niewyrozumiałości, płytkości i złości.

— A panią — zwrócił się do niej z czarującym uśmiechem jeden z najsympatyczniejszych aniołów — przedstawiliśmy przy rozdawnictwie dyplomów do pierwszej za cnotę nagrody.

— Merçi monsieur — podziękowała mu w wytwornem niebie, niewiadomo dlaczego po francusku i, chcąc pochwalić się swoją kulturą,

zakończyła rozmowę z wyniosłością, z jakiej nigdy nie demaskowała się na ziemi w swojej stałej roli skromnisi:

— J'ai été toujours modeste en me jugeant, mais fière en me comparant — otarła sobie oczy zaspane po chwilowej drzemce i zabrała się do odrabiania ziemskich zaległości biurowych.

---

DWIE MIARY



Konduktor zatrzasnął drzwiczki wagonu. Rozległ się świst lokomotywy, niby zgrzyt kątowanej, leniwej bestji. I pociąg, sapiąc i charcząc bum, bum, bum, cały w kłębach dymu, — opuszczał z ciężkim wysiłkiem zabudowania stacyjne. Fale tłumy opuszczały już peron. Dookoła poczęła panoszyć się królewska cisza wielkich przestrzeni. Młody podróżnik porzucił okno wagonu i, rozglądając się po pustym przedziale, odetchnął szeroką pierśią:

— No, nareszcie! — rozejrzał się dokoła, czy tragarz umieścił dobrze na półce jego walizkę, pleś i pudełko kapelusza.

— Wszystko w porządku. Doskonale!

Zapalił papierosa i, delektując się rozkoszą życia, odczuwaną tak wyraźnie w fazie młodzięnczego rozkwitu — rozciągnął się jak długi i z lubością zakołysał na miękkich sprężynach poduszek wagonu.

Nareszcie porzucił już — zdaje się — na wieki, tę zatechłą rodzinną miejscinę, z którą łą-

czyły go wprowadzić rozkoszne, dziecięce wspomnienia, lecz z epilogiem tak tragicznym, że nie dał się strawić.

Całej rodzinie szło na tym partykularzu wiecznie, jak z kamienia. Dość znaczne dochody ś p. ojca ulatniały się dziurawem sitem wśród tej nudnej, małomiasteczkowej węgielacji z dnia na dzień. Ile jednak ta węgielacja była warta — poznał dopiero wtedy, kiedy ją utracił. Bo tu naraz, przed samą jego maturą, wśród rojeń o stołecznym uniwersytecie, ojciec jego, rażony nieoczekiwanym nigdy atakiem apoplektycznym, nagle umiera. Przewiduje się śmierć różnych obcych osób, lecz nigdy najbliższych.

Cios zbyt tragiczny. Bo co uczynić z matką, noszoną wiecznie przez zmarłego na rękach? Z tą przezacną, świętą, lecz nikłą i niezdolną do żadnej pracy, delikatną kobieciną? A i siostra Janka zamierzała dopiero zdawać na patent gimnazjalny.

Wszystkie projekty, długoletnie marzenia poszły naraz z dymem.

Nie przypuszczali nigdy, że podobny cios można przeżyć. Bo cała rodzina wyjątkowo się kochała; a starzy żyli ze sobą, jak gołębie. A teraz pozostali na bruku. Matkę, jak obuchem oszołomioną, wzięła do siebie z łaski jakaś kuzynka, także nie opływająca zbyt w dostatkach. Na wsi gdzieś za lasami i górami, na Podolu, czy też Ukrainie.

On dostał posadę na kolei. A Janka pojechała hen daleko „do dzieci“ na wieś.

Korespondowali ze sobą czule, jak narzeczeni. Lecz poza zdawkowymi pociechami — drgała pomiędzy linjami tych listów żalność wśród obcych i tęsknota za straconem niepowrotnie rodzinnem ogniskiem, które wydawało im się węgielnicą w czasach, kiedy marzyli, aby na szeroki świat wyfrunąć. A teraz świat ten począł niepokoić ich trochę swoją zagadkowością.

Matka wkrótce zmarła. Nawet na pogrzeb nie mógł jechać. Bo zastępował na służbie chorego kolegę i urlopu mu nie dali.

Po pewnym czasie drzwi jego pokoju otwiera naraz jakaś postać kobieca, której nie poznał w pierwszej chwili.

— Julek!

— Janka! Chryste Panie! To ty? Tak dojrzałaś, wypiękniałaś!

Stęsknieni, padli sobie w objęcia, jak kochankowie. Potem zwierali się ze swoich tęsknot przeszłości i z zamierzeń i projektów jutra.

Rzuciła już miejsce nauczycielki na wsi i zaciskała aż pięści na samo wspomnienie pobytu na swojej wiejskiej *kondycji*.

— Hrabiewie! Mam już po szyję tej hołoty z pod ciemnej gwiazdy. Nie obawiaj się! Dam sobie w życiu radę. Nie boję się już przyszłości.

Zwierzyła mu się ze swoich planów. Jedzie teraz do stolicy. Ma przyobiecana posadę w biurze tramwajowem. W życiu nie stąpa się po ró-

żach; lecz jeżeli ma się tylko strawny żołądek i plecy...

— A ja mam ładne plecy! — wybuchnęła śmiechem, którego nie zrozumiał.

— Zmieniłaś się bardzo — nie wychodził ze zdumienia. — Nie jesteś już panienką.

— Jakto, nie jestem panienką? — zaczerwieniła się po białka oczu.

— Jesteś już człowiekiem — pocieszał ją. — Cała przyszłość przed tobą.

— Naturalnie. I tobie miejsce w Warszawie wyrobię. Zobaczysz. Oby tylko nikt z tych parafjan naszej nędzy nie widział — zakipiała tym żalem, jaki zawsze uczuwamy do naszego otoczenia, na którym w nieszczęściu zawiedliśmy się.

— Najlepiej borykać się z losem gdzieś zdaleka wśród obcych, nieznanych ludzi. Dopiero kiedy do portu już dopłyniemy i kiedy od nikogo łaski już żądać nie będziemy... wtedy dopiero... Prawda?

Pocziwa, dzielna Janka! Dotrzymała obietnicy. W krótkim czasie zawiadomiła go listownie, że są dla niego pewne widoki posady. Lecz do dymisji na kolei niech się jeszcze nie podaje. Niechaj tylko urlop sobie wyrobi i do Warszawy natychmiast wyrusza.

Na ekwipowanie załącza mu stówkę, którą następnie miesięcznymi ratami jej zwróci. Posada nie w żadnej norze, lecz w samej Warszawie.

Właśnie Julek jedzie teraz tam do stolicy,

po raz pierwszy w życiu. Warszawa! Sam dźwięk tych sylab brzmi w uszach młodych magnetycznie;

Dotychczas w zachwyty wprowadzały go warszawskie mody, dowcipy, warszawskie cukierki, ciastka. Wszystko odgrzewane, czerstwe, te, które Warszawa już odrzucała.

Przyjeżdżały na partykularz od wielkiego święta i różne sławy warszawskie; przeważnie wycofywane już z obiegu różne eks-piękności stołeczne, aktorki, szansonistki, do których tu docisnąć się nie można było. No, teraz przynajmniej pozna na miejscu prawdziwe warszawskie mody, prawdziwe warszawskie obuwie, prawdziwe warszawskie słodczyce u samego źródła, dla wszystkich dostępne.

Wygwizdywał wśród turkotu kół o relsy, jakieś wesołe melodje. To młodość w nim grała.

— Zobaczę prawdziwe kabarety. Skończyła się karykatura życia na bezludnej wyspie. Zacznie się życie — wyciągał z zacięciem młodzieńcze ramiona ku nęcącym go grzechom...

Din, din. Stacja! Konduktor otwiera drzwiczki.

— Psiakrew! — zaklął Julek, zły z powodu przerwanej nici marzeń.

Bo oto wskakuje do jego przedziału jakiś sztywny młodzieniec w sportowym cudackim ubraniu, w zielonych pończochach i tyrolskim kapelusiku.

Młody „tyrolczyk” wkrótce okazał się bardzo skłonny do zawierania nowych znajomości. Należąc widocznie do zanudzających się na śmierć z samym sobą, lubował się własną wymową; kokietował nią najbardziej tych, którzy dotąd jeszcze jego repertuaru na pamięć nie umieli.

Z zachęcającym uśmiechem oraz z wielką rutynowaną swobodą łamania pierwszych lodów rozmowy — ucieli naraz pogawędkę. I z łatwością młodych — odrazu zżyli się w ciągu godziny z sobą tak, jak gdyby beczkę soli razem już zjedli.

— Ależ, panie drogi — to nieprawda, aby Warszawa była tak droga — uświadamiał prowincjonalistę. — Trzeba tylko umieć się urządzać. Naturalnie — teatry, gabinety, aktorki — to zbytki, dobre dla burżujów. Ale nie dla nas młodych. Ja tam zresztą nie przepadam ani za gabinetami, ani za jakimiś tam aktorkami. To nie są kobiety. To są frymarczynie. Ja bywam jedynie w przyzwoitych domach. Spotyka się tam, proszę pana, takie mężatki i panny — cmochnął z zachwytem ustami — że nawet porównać ich nie można z jakimiś lafiryndami. To nie są, proszę pana, jakieś tam kobiety, którym się płaci. Przyjmują jedynie minimalne grzeczności, usługi, protekcję dla siebie lub dla krewnych. Wogóle drobiazgi, jakich udzielają sobie wzajemnie koledzy, lub przyjaciele. A pozatem nic, nigdy. Miłość za miłość. Rozkosz nad rozko-



szami. One nie frymarczą swoim ciałem, jak owe szanowane przez ogół zacne matrony, które dla różnych kombinacji rodzinnych, czy też majątkowych sprzedają się wstrętnym mężom — wbrew naturalnym porywom serca. I żyją w tem kłamstwie aż do końca życia. Nie wymienię naturalnie nazwiska tych wszystkich kobiet, które wyzwoliły się z kajdan niewoli wobec panujących jeszcze przesądów o tak zwanej uczciwości kobiet. Bo, proszę pana — właściwie, co to jest uczciwość? To niekrzywdzenie w niczem nikogo, prawda? Więc cóż to komu szkodzi, że tam od czasu do czasu... Otóż, jako gentleman — nie wymieniam nazwisk. Ale mogę zapewnić pana, że większość panien nie żyje już teraz za piecem. Nie istnieją już teraz owe dawne anemiczne panienki, które nic nie robiły, tylko z założonemi rączkami, pod opieką mam i ciotek wy-  
czekiwały przyszłych mężów. Teraz na równi z braćmi pracują w biurach, administracjach, kasach i zarządach, jako urzędniczki, korespondentki, buchalterki. Na równi z nami odbierają miesięczne pensje i tak, jak my — spędzają po pracy wieczory — swobodne, szczęśliwe, wolne, jak ptaki i motyle, jak kwiaty, które całują się w słońcu. Bez opieki mam i nieistniejących już owych nieszczęsnych starych ciotek, pełniących ongi na rezydencji rolę haremowych eunuchów — panienki te wydają własne, zarobione pieniądze na co im się podoba. Jak my, bywają w teatrach i w cukierniach; palą papierosy, jak my,

grywają w bridża i jak my kochają tego, kto im się podoba. Trudno przy zmianie życiowych warunków dziwić im się, że przewartościowały wszystkie dawne wartości. Nie schylają już głowy pod okowami dawnych tradycyjnych przesądów. I kontrolują dawne despotyczne katechizmowe nakazy z wzorów kaligraficznych:

— Nie czyni tak, nie postępuje owak.

— Przepraszam — kwestjonują nie kontrolowane rachunki. — Dlaczego? Cui bono? Co to szkodzi? Komu? W czym? Otóż i ja mam proszę pana taką uczciwą panienkę, której oczywiście nie płacę, lecz obiecałem wystarać się o posadę dla jej brata. I słowa dotrzymam. Ręka rękę myje.

— A może ręka rękę brudzi — roześmiał się pochmurnie Julek. — A czy ten brat domysła się, czemu będzie zawdzięczał swoją karierę?

— Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Mój męski umysł z jednej sztuki nie nadaje się do wnika-  
nia w różne niepotrzebne tak zwane ongi subtelności. My młodzi nie lubujemy się już teraz w wyszłej już z mody cienkości, głębi i okliwosci. Obecny świat jest bardziej męski, bo jest silniejszy, weselszy i pogodniejszy. Bo życie uważa pan to—jak wojna, jak łowy, polowanie. Oczywiście, że w tir au pigeon wolę być strzelcem, niż gołębiem. Bo jeżeli uwiodę ci twoją żonę, to będę się uważał za zręcznego donżuana; a jeżeli ty uwiedziesz mi moją żonę, będę uważał cię za podłego łotra. Inna jest logika zwy-

cięskiego strzelca, a inna ranionego gołębia. Prawda? A la guerre, comme à la guerre. To takie proste. Zgadza się pan z tem, że...

Stacja. Dzwonek. Drzwi wagonu znowuż otwarto. Pęd świeżego powietrza. O! I nowi przybysze!

Do przedziału wdrapują się jakieś dwie bardzo średnio przystojne damy, kilkoro dzieciaków, niańka i ogromna moc walizek, pudełek i pakunków. Zdumienie z powodu nieoczekiwanego spotkania... Buzie z dubeltówki...

— Kogo ja widzę? Skąd się tu wzięłeś?

Okazało się, że te damy były ciotkami sympatycznego „tyrolczyka”. Po wymianie wstępnych powitań, zdziwień i t. d. — rozpoczęły się rozmówki, w których sympatyczny tyrolczyk znowuż popisywał się swoją elokwencją w kwestjach zupełnie innej parafji, mniej radykalnej i mniej liberalnej.

Rozkoszując się dźwiękiem własnego głosu, zapomniał już o świeżym znajomym, z którym niedawno przyjaźnił się tak, jakby beczkę soli razem spożyli.

Ożywiona miła dyskusja z ciotkami trwała bez przerwy aż do końca podróży. Nawet w samej już Warszawie w pośpiechu podawania ciotkom kufrów, dzieciaków i pakunków — ledwie zdążył uchylić kapelusza na odchodnem.

Zresztą i Julek miał co innego w głowie, niż myśli o towarzyszu podróży. Zaraz nazajutrz przedstawił się z samego rana swojej przyszłej

władzy, która przyjęła go bardzo zachęcająco i upewniła, że w ciągu tygodnia sprawa wakansu ureguluje się. I Julek w najlepszym nastroju biegł do Janki, która odnajmowała pokój u jakiejś uczciwej rodziny.

Była nad wyraz wzruszoną widokiem brata. Może bardziej jeszcze, niż za pierwszym widzeniem.

— Julek, Julek, Julek! — rozplakała się.

— Nie wstyd ci? — gromił ją brat. — Beks! —

— Przecież prócz ciebie nie mam nikogo.

— Jakto nikogo? Nie masz znajomych, przyjaciół?

— Przyjaciół? — uśmiechnęła się z bolesną ironją. — O! tak. Mam przyjaciół, kolegów i koleżanki. Ale tylko ty jeden pamiętasz — otarła oczy i gwałtem przełknęła ostatnie łzy w gardło. — E basta! — poczęła umawiać się z nim, gdzie i kiedy będą się spotykali ze sobą.

W tym tygodniu miała — niestety, wieczorne dyżury w biurze. Lecz wogóle okazała się odnośnie do niego bardzo wyrozumiałą.

— Pojmuję, że musisz urządzić sobie własne życie. Nie chcę narzucać ci się swoją osobą i być kulą u nogi. Miłość zbyt ognista nie jest nigdy trwałą. Będziesz odwiedzał mnie dwa razy na tydzień. Powiedzmy: w niedziele i czwartki. Łatwo zapamiętać dni, w których jada się flaki. Zgoda? A potem Lardelli, kinematograf, albo teatr. Dobrze?

— Doskonale. Dzielna z ciebie dziewczyna! Czemu biedni rodzice tego nie doczekali?

Zaczęli rozpowiadać sobie domowe anegdotki i szczegóły ze wspólnych lat dziecięcych. W oczach Janki łza znowuż zaszkliła.

— Miałeś słuszość. Jestem beksą.

— I ja jestem trochę babą.

— Widocznie nie jesteśmy jeszcze prawdziwymi warszawiakami.

Wreszcie powstał z siedzenia, wobec tego, że Janka miała przecież wieczór zajęty. Poszedł sam do kinematografu. Był w nastroju melancholijnym. Choć nie żalił się na Warszawę, bo dotychczas wszystko poszło mu dość składnie.

Był zadowolony i z rodzaju przyszłych zajęć i z władzy i z oczekujących go stosunków, co do których był już poinformowany.

Lecz pozatem czuł się w obcym mieście jeszcze ogromnie osamotnionym.

W ciemnym kinematografie zasiadła przy nim ogromnie blisko jakaś bardzo szykowna prawdziwa warszawianeczka, jedna z tych, o których na swojej bezludnej wyspie wiecznie marzył.

Dojrzał jej urodę w chwilowym antrakcie, kiedy światła rozjaśniają. Młoda, ładna, najwidoczniej nie kokota, ponieważ przyszła nie sama, lecz z bardzo poważną towarzyszką.

Przekonał się, że krzesła w warszawskich kinematografach są znacznie ciaśniejsze, niż na prowincji. Nie żalił się na tę niewygodę, prze-



ciwnie może nadto ją podkreślał. Aż z gorąca musiał sobie chustką wciąż skronie ocierać.

Dziwną asocjacją idei przypomniał mu się tyrolczyk, uświadamiający go w wagonie o warszawskich „rozkoszach nad rozkoszami”.

— „Spotyka się tam — proszę pana — panny i mężatki, z którymi żadne lafiryndy nawet porównywać się nie mogą. Jako gentleman nie wymieniam nazwisk kobiet, które pracują i żyją, jak my. Dają miłość za miłość. I, proszę pana, czy to nie jest uczciwsze, niż kłamstwa czcigodnych matron, które dla różnych kombinacji sprzedają się na całe życie wstrętnym mężom, wbrew naturalnym porywom serca?

Jakby pod wpływem tych uświadamiających reminiscencji — ani spostrzegł, jak w nieodpowiedzialnym transie zaproponował przy wyjściu bardzo grzecznie nieznanym damom pogawędkę w cukierni. Wyjawił przy tem swoje nazwisko. Brzydsza towarzyszka oburzyła się:

— Proszę pana, nie należymy do kobiet, chodzących do cukierni z mężczyznami, którzy sami się przedstawiają.

Lecz ta jego sąsiadka, śliczna utleniona blondynka — poczęła przekonywać swoją przyjaciółkę — z niewysłowionym prawdziwie warszawskim wdziękiem mowy, trochę manierowanej na szczebiocie panny Lubicz - Sarnowskiej z Rozmaitości:

— Stanowczo nie chcesz? To obejdzie się chłopskie wesele bez marcepanów. Ponieważ



moja przyjaciółka — zwróciła się do zwycięskiego już trochę Julka — odmawia swego towarzysztwa — pójdę — wbrew moim zasadom — sama z panem. A czy pan wie dlaczego? — przechyliła swoją kształtną główkę i spojrzała mu w same oczy. — Dlatego, że pan mi się podoba. Nie ukrywam nigdy prawdy.

Rozkosz nad rozkoszami!

— Dziękuję za tę prawdę — wsunął nowoczesnym zwyczajem rękę swoją pod jej ramię, zamiast wyszłego z mody wspierania na swoim ramieniu kobiety, o czym już nawet na prowincji wiedzano.

— Niema jeszcze za co dziękować. Może w cukierni nastąpić wspólne rozczarowanie — mówiła ogromnie poważnie ze śmiesznym kontrastem minki „pierwszej naiwnej“.

Po upływie tygodnia zachciało się rozkosznej warszawianeczce idylli z ukochanym w niedzielę w Łazienkach.

Bo była kasjerką w składzie kosmetyków i miała wolne tylko święta.

Julek, nienasycony jeszcze ruchem wielkomiejskim — nie przepadał zbyt za pejzażami natury. Napatrzał się na nią do syta o dzieśnięć kroków poza rynkiem swego miasteczka. Lecz nie śmiał jej odmówić. Zbyt wiele dowodów bezinteresownej miłości od niej otrzymał.

Naznaczyła mu schadzkę przy Belwederze. Schodzili razem spadzistą drogą, skręcając nie ku zbyt gwarnemu pałacowi, lecz w bok, w kie-

runku nowej oranżerii wzdłuż sztachet ogrodów belwederskich. Bo tam było — podług określenia ślicznej warszawianeczki — daleko poetyczniej.

I szli wązkim szpalerem cienistych drzew, przez które przebijały się z trudem złote promienie słońca. Byli zupełnie sami. I, idąc, trzymali się za ręce, jak Paweł i Wirginja.

Dokoła mieli ciszę. Tylko ptaszki świergocą. A zdala motyle nad ozłoconą murawą błyszczą w powietrzu, jak rzucane z nieba garściami kwiaty.

Julek palił jednego papierosa za drugim — wsłuchany w jej szczebiot o jakichś rodzicach, którzy już poumierali, o siostrach i braciach, z których jeden jest na uniwersytecie. Bo ojciec był komornikiem...

Julek wsłuchiwał się w te wszystkie sprawy obojętnie. Rzeczy tak zwykłe! Przecież nawet w jego miasteczku każda najbardziej pogardzana przez niego dziewczyna — miała pasję opowiadania o jakichś tam rodzicach, siostrach i braciach. Wiecznie, jakby szczyciły się tem, że poza chwilową rolą żywych zabawek — są one jednak stworzone tak, jak inne prawdziwe żony, matki, siostry i córki.

Julek zwykle poprawiał sobie już wtedy na wychodnem najpospieszniej krawat i wąsy fryzował — nieciekawy blag tych parjasek, sprzedawczyń pocałunków, poza pewnemi chwilami, stojących poza murem świata.

Bo ostatecznie poznał dzisiejszą swoją Wirginję zaledwie przed tygodniem w kinematografie. A jeżeli ona nawet upiera się nie przyjmować od niego pieniędzy — to ot takie sobie dziwactwo i kaprys, który nieraz wpada dziewczynom do głowy.

Rozpłakała się nawet, kiedy zaproponował jej kupno rękawiczek. A przecież buciki i piękne sukienki nie spadają paniąkom z nieba. Ot! Kaprys żywych zabawek.

Minęli już kładkę z poręczą, na której Wirginja, przylepiona do ramienia swego Pawła — wskazywała mu wyryte scyzorykiem jakieś zdrobniałe, pieśczośliwe imiona, miłosne oświadczenia i figlarne sprośności — kiedy ujrzeli naraż sunącą z poza drzew ku nim w powrocie ku miastu, skąpaną w słońcu jakąś inną czułą parkę w miłosnem objęciu.

Julek z koleżeńskim zaciekawieniem począł niedyskrytnie wpatrywać się w nadchodzących od stóp do głowy.

Uśmiechnął się, bo w tym Hermanie z Doroteą rozpoznał wnet sympatycznego tyrolczyka, który nawet odpowiedział mu konfidencyjnym ukłonem:

— Widzisz, nie kłamałem ci w wagonie: Rozkosz nad rozkoszami!

Lecz z rozpoznaniem Dorotei — sprawa była znacznie trudniejsza. Bo spłoszona widocznie wpatrywaniem się badawczego Julka — nerwowo zakryła twarz gęstą wualką i opuściła w dół

oczy, a zbliżając się ku nieoczekiwanej spotkaniem — szarpnęła rozpaczliwym ruchem swego towarzysza za ramię, skręcając w boczną aleję, przecinającą nową oranżerję.

Lecz taktyka nie poskutkowała. Młode, wiejskie oczy Julka, nieosłabione jeszcze stołeczną rozpustą — rozdarły niestety — tajemnicę zawalowanej damy.

— Jezus, Marja! Jezus, Marja! — jęknął, zagryzając do krwi wargi, z uczuciem, że plunął mu ktoś w twarz. A on niezareagował, choć czuje żar policzka. Szarpnął za kołnierzyk, który go dusił.

— Co ci się stało? Pobladłeś? — badała go wystraszona towarzyszka. — A możebyśmy usiedli na chwilę?

— Nie, nie. Nic mi nie jest — rzucił jej wymijająco. — Chodźmy prędzej. To przejdzie.

W uszach mu szumiało. Wszystko dokoła płąsało, jakgdyby się upił.

Bo ta przylepiona miłośnicie do ramienia obcego mężczyzny dziewczyna, widocznie metresa tyrolczyka — to była... jego siostra Janka!

I ziemia nie zawałała się, a jedynie zachwiała się pod jego stopami? Kwiaty, ptaki, motyle... tak samo... Jezus, Marja! Jezus, Marja!

— Ten łotr! — wyrzuciły machinalnie trzęsące się wargi Julka, a napół świadoma trująca myśl wnet mu w mózgu zasyczała:

— A ty? Czyś nie uczynił tego samego łotrostwa względem komornika, ojca twojej per-

fumiarki i jej brata, studenta uniwersytetu? Jezus, Marja!

— A może byś się wody napił? — upierała się jego towarzyszka.

— Nie, nie — ciągnął ją prawie w pędzie pod górę.

Przez całą drogę nie przemówili do siebie ani słowa. Dopiero przy stacji tramwajowej Julek białym, nieswoim głosem zadecydował wbrew ułożonym projektom:

— Wybaczysz. Nie pójdziemy razem do mleczarni. Oto twój tramwaj. Ja jadę w inną stronę. Wybacz. Bądź zdrową.

— Rozumiem wszystko — rzuciła mu smutno na rozstanie. — Ta kobieta, którą spotkaliśmy, jest ci bliższą odemnie. Kochasz ją.

— Nie — odrzekł zdławionym bez dźwięku głosem. — Już jej nie kocham. Do widzenia.

Jak raniony pies, biegł do nory swego hoteliku. A w głowie jego nie przestawał huczeć ocean bezdennej rozpacz. Bo niema rady. Co się stało, nie odstanie się już.

Jakaś nowa, ciężka fala uderzyła bolesnym hukiem o jego zboliałą głowę:

— Należało spoliczkować tego łotra, wyzwać go, a potem zabić.

— Za co?

— Jakto za co? Za to, że zbezczęścił dobre imię rodziców, że splugawił wszystko, co było świętem w moich wspomnieniach...

Ta rodzona jego siostra, córka jego ukochanych rodziców, wychowana we wspólnem, rodzinnem gnieździe, od najmłodszych lat chluba, nadzieja, radość całego domu...

Przed oczami stanęły mu wszystkie wspólne dziecięce wspomnienia, które go z siostrą łączyły: imieniny, gwiazdka, święcone, wszystkie tradycyjne uroczystości, rodzinne wyrażenia, facecyjki, żarciki, tylko im obojgu znane! I on w obronie honoru siostry i całej rodziny nie zabił go?

Lecz jeżeli Janka nie uważa tego za hańbę? Jeżeli dobrowolnie na tę ohydę przystała? Oszaleć można! Bo jeżeli ona czuje się szczęśliwą? Swobodna i wolna wybiera sobie tego, kto tylko się jej podoba. Dziś ten, jutro inny. Pocóż okowy? Jak ptaki, motyle i kwiaty, które całują się w słońcu.

Czy nadszył by zabijać wszystkich jej kochanków? Bo trymarką własnego ciała jest jedynie sprzedawanie się wstrętnemu mężowi. Kłamią jedynie owe szanowane przez ogół matrony, które dla różnych kombinacji — wbrew naturalnym porywom serca — żyją w uprawnionych małżeńskich więziennych okowach, we wstrętnem kłamstwie aż do końca życia.

— To on mi to wszystko powiedział — zachuczało Julkowi w głowie — w wagonie! Wydawało mi się to wtedy tak słusznem i tak logicznem. Ale co by ten łotr uczynił, gdyby tak,



jak ja — spotkał własną siostrę w Łazienkach z obcym facetem! Lub żonę! Lub córkę?

Wzdrygnął się, jakby za dotknięciem ostrza niezagojonej rany. Zrozumiał teraz doskonale, że są dwie logiki, dwie sprawiedliwości, dwie miary. Jedna, tycząca się wszystkich dokoła. I ta druga, tycząca się jedynie nas samych... Bo wtedy już ustaje wogóle wszelka logika i miara w okowach afektu i nie wyrozumowanych uczuć, których przewartościować nie można.

Jakiem prawem miał by go policzkować: jeżeli ona kocha „tego durnia“? Kocha! He, he! Jak to się ładnie nazywa: Naturalnie, że on, jako brat, wolałby, aby Janka miała męża, choćby starego, kulawego i garbatego. A on sam mógłby wtedy spokojnie spacerować sobie po Łazienkach z piękną perfumiarką. Więc co ma robić? Nie może przecież wymagać od siostry, aby spacerowała tęsknie sama opuszczona po Łazienkach, narażając się w dodatku na brutalne zaczepki obcych mężczyzn? Więc może ma ją zapoznać ze swoją perfumiarką i bawić się z „tym durniem“ we czworo? I nie pozostawało by mu wtedy nic innego, jak udawać, że tej rozpusty nie widzi. Lub solidaryzować z jej postępowaniem i uważać każdego z jej kochanków za szwagra, od którego przyjmuje się rodzinne usługi. Czyli być poprostu Alfonsem! Przypominał sobie logikę teorii „tego durnia“ i ohydę praktyki. Godzi się zresztą w zasadzie na wszystko. Aby tylko ta ohyda nie tyczyła się jego

siostry. Bo łatwiej godzić się mózgiem, niż duszą.

Ta rodzona jego siostra, wychowana pod wspólnym dachem rodzinnym, karmiona piersią jego matki, i otaczana wszystkimi rojeniami ś. p. ojca, który marzył dla niej o mężu, szanującym ją w patryjarchalnym ognisku — nie mogła w myślach Julka łączyć się z temi wszystkimi żywymi rozpustnymi zabawkami, poza sanktuarjum rodziny, których imiona wspomina się drwiąco, a nazwisk nie pamięta się. Bo to są istoty z kawalerskich czasów, które się nie liczą; stoją poza światem.

— Tak, tak. To nie to. To zupełnie nie to samo. Nie mam już siostry. Umarła — zakonkludował, rzucając się na łóżko. I z najwyższą rozpaczą wybuchnął płaczem, jak dziecko.

Wreszcie zmęczony chaosem sprzecznych myśli, które w chorym mózgu huczały — zerwał się na równe nogi, otarł łzy. I, spragniony jakiejś akcji, w której zatonałby jego ból — począł pakować swoją walizkę. Rzec postanowiona: Nie pozostanie tu ani godziny dłużej. Ma już dość Warszawy aż do końca życia.

Dość tego Mołocha stołecznego, spragnionego wiecznie młodej krwi z całego kraju, którą pochłania w swoją paszczę nienasyconego nigdy potwora. Jedno pokolenie za drugim. Ma dość już tych brudów, w które człowiek ani spostrzeże, jak zanurza się coraz głębiej. I przeświadczony, że zawdzięcza protekcję w biurze

jakiemuś gachowi siostry (a oczywiście właśnie temu łotrowi, który przecież wspominał mu w wagonie o jakichś protegowanych kuzynach?) — wystosował list do naczelnika, w którym donosi mu, iż, zadecydowawszy pozostać na swoim dawnym stanowisku — cofa swoją kandydaturę. Przecież nie może stać się Alfonsem, sprzedającym za posadę wdzięki swojej siostry!

Pobiegł na dół do jubilera i sprzedał swój rodzinny zegarek, herbowy pierścień i srebrną papierośnicę.

Otrzymane pieniądze włożył do koperty, zaadresowanej do siostry, wraz z listem, w którym oświadczył jej, że zwraca zaciągniętą pożyczkę i żegna ją na zawsze, ponieważ uważa ją za straconą na wieki. Bo więcej już nigdy w życiu nie zobaczą się.

Przy pisaniu tego listu ostatnie łzy zaćmiły mu w oczach; czuł ból, jakby po amputacji... serca. Poczem odetchnął. Był przecież mężczyzną.

Spojrzał na rozkład jazdy pociągów. Zapłacił rachunek hotelowy; porwał za walizkę i pobiegł na dworzec kolejowy. Ledwie wskoczył do wagonu — pociąg ruszył.

Wyciągnął nogi w pustym wagonie i przy akompaniamencie zgrzytu kół i relsów o szyny — zasnął — kołysany monotonią resorów wagonu — pokrzepiającym królewskim snem zdrowej młodości.

I ani spostrzegł, jak pociąg, minawszy hała-

śliwie zwrotnicę — stanął na miejscu jego podróży. Nie słyszał ani drgającego szeregu dzwonek telegraficznych, ani ciągniętego za sznur wielkiego dzwonu stacji.

Dopiero w ostatniej chwili porwał się ze snu na równe nogi. Pochwycił za walizkę. Na peronie wśród mniej lub więcej znanych mu twarzy — dostrzegł zaspanemi jeszcze oczami kolegę, który w czynnościach go zastępował.

— Jak się masz, Julek? co? Już z Warszawki? Przed upływem urlopu? Cóż za mucha cię ugryzła? Przyjemnie w syrenim grodzie, co? Byczo, prawda?

— Nic szczególnego.

— Ale kobietki szampańskie — to już przyznasz. Masz nawet minę taką, jakbyś mógł coś o tem powiedzieć.

— Naturalnie — zasyczał tragicznie. — Cała Warszawa to jedna Sodoma. Jeżeli kogoś bawi spędzać tak całe życie... De gustibus. No, do widzenia. Odpocznę trochę w domu.

— Do widzenia — uśmiechnął się politycznie kolega. A w myśli zakonkludował filuternie:

— O! Jakaś warszawska bestyjka musiała dać mu się tam dobrze we znaki!

# FRANEK I JEGO KURA

Kucharka Katarzyna miała już swoją zwykłą taktykę: Godząc się do nowej służby, nie wspominała, iż ma syna. Pracowała tylko bardzo gorliwie; gotowała smacznie, robiła co do niej należało; a przed panią, jak trusia milczała.

Wtedy to dopiero pojawiał się w kuchni za piecem 7-letni Franek, jak gdyby pojmujący już swoje położenie i zdający się mówić:

— Przepraszam was wszystkich bardzo, że ja żyję na świecie. Ale cóż robić? Doprawdy, to nie moja wina.

Państwo patrzyli na niego przez palce. I Franek rozkwaterowywał się na dobre. Zajmował miejsca doprawdy nie wiele.

Sypiał na kufrze, na który Katarzyna układała specjalnie dla niego uszyty sienniczek, cienki, jak dla psiaka. Okrywał się jej starą zimową kiecką.

Przez cały dzień słyhać go nie było. Siedział w kącie za piecem i strugał nożem drewna;



czasami w starym naparstku matki robił babki z piasku. A kiedy matka, będąc w złym humorze, szturchnęła go nieraz, lub krzyknęła: „ucz się” — znosił wszystko z filozofją: Brał do rąk zbrukany elementarz i powtarzał bez końca:

— B-a--ba; B-a-ba, — myślał wtedy coprawda zupełnie o czem innem; a raczej nie myślał o niczem.

Był to oryginał skończony. Dość spojrzeć było na niego: Choć miał lat siedem, wyglądał najwyżej na lat pięć.

Mały był, a cienki jak szczapa. Nogi i ręce miał, jak dwa piszczele; głowę nieforemną, piersi wklęsłe, brzuch wydęty — ot, jak zwykle dziecko, oddane na mamki, a które uparło się, aby nie umrzeć.

Buty tylko w rzadkich uroczystościach matka mu wkładała.

A były one kupowane zwykle na wyrost, zbyt duże i ciężkie.

I Franek dziwnie w nich nogi stawiał, a stąpając, wysoko do góry je podnosił; stukał przytem, uśmiechał się i brzuch jeszcze więcej wypinał.

Chodził zwykle w zbrukanem i wyrośniętem ubranku niebieskiem aksamitnem z pozostałemi już niewieloma mosiężnemi guziczkami, które matka kupiła dla niego u jakiegoś handlarza starzyzną. I śmieszny był ze swoją brzydką, śniadą twarzyczką i wielkimi szaremi oczami.

Kiedy matka rankiem na targ wychodziła, pan domu, stary emeryt zaglądał niekiedy do kuchni i mówił mu, udając surowego:

— A sprawuj się tu dobrze, rozumiesz?

— Rozumiem — odpowiadał butnie, z głową do góry podniesioną, wymawiając wyraźnie literę R i kładąc akcent na ostatniej zgłosce.

Wyruszać na krok z kuchni było mu surowo zabronionem. Sadowił się więc w swoim kącie i godzinami wyśpiewywał, zadowolony: la, la, la — póki lokaj, sprzątający pokoje — nie wychylał zniecierpliwiony głowy z poza drzwi z rozkazem:

— A nie przestaniesz mi tu wyć, ty, brzdącu?

Matka zbyt złą dla niego nie była. Biła go, bo biła niekiedy; od czegoż była matką? Słówka czulszego w życiu do niego nie przemówiła; nie uśmiechnęła się nigdy. Taka już była jej natura. Lecz kochała go po swojemu.

Dziwna była ta sucha, bez piersi, śniada dziewczyna, z ostremi rysami małej twarzy, z małemi oczami, z wąską wargą, wysmukła małomówna, ponura, mrukliwa, wiecznie w tej samej ciemnej spódnicy, z chustką, niedbale zarzuconą na gładko zaczesanych lśniących czarnych włosach.

Po wielu latach tułaczki od służby do służby — złamanego grosza nie odłożyła. Mały jej kuferek był pusty; pościel nędzna, choć, jak wół roboczy od rana do nocy pracowała; a wódki do ust nie brała.

Lecz Franek wygadał się raz przed lokajem, że posiada na wsi jeszcze małego braciszka, na którego matka wciąż pieniądze posyła. I nikt by nie odgadł, iż w tej wątłej, wyschłej piersi łopotało serce, spragnione ciągłych wzruszeń.

Jej szorstka ręka łaknęła ciągłego uścisku ciepłej dłoni. Cała istota lgnęła do miłości, jak do słońca.

Nie pomna na cierpienia i zawody, jakie w życiu przechodziła — żyła w ciągłej pogoni za miłością — z wyciągniętymi wiecznie ku niej ramionami.

Poświęcała się jej cała. Stawała się niewolnicą każdego swego kochanka; owieczką, drżącą na jego spojrzenie. Patrzała mu w oczy; usługiwała, oddawała mu jadlo; całą swoją pensję.

A pracowała wtedy, a krzątała... Żyła!

Katarzyna była zakochaną! I wnet cała kuchnia dokoła zmieniała swój charakter. Rondle na półkach błyszcząły, jak złote. Kwiaty w doniczkach na oknie zakwitały. Ogień na kominie buchał weselej.

I Franek w swoim kącie uśmiechał się zadowolony.

Lecz kochankowie ją opuszczali. I naraz kuchnia pustoszała. Nie lśnił już w kącie mosiężny kask strażaka, ani niebieska bluza stróża z domu sąsiedniego.

Nie miała już komu wpatrywać się w oczy,

wsluchiwać się w dźwięk mowy; nie miała już komu usługiwać, poświęcać się...

A zdarzało się, iż nieczuły lokaj nie chciał grać roli pocieszyciela. Nie chciał parzygnata. I grymas powracał na wąskie usta Katarzyny.

Garnki jej z rąk wylatywały. Znikały z okien firanki; i kwiaty w doniczkach więdły. Nie świeciły już rondle; nie lśnił na podłodze żółty piasek. Ogień na kominie gasł wcześniej i wśród popiołów i perzyny — czadziły spalone węgle... I Franek w swoim kącie drżał ze strachu. Matka szturchała go co chwila bez powodu.

I cała kuchnia ciemna — napępiała się hukem garnków, trzaskiem drzwi, przekleństwami, złorzeczeniami. I smutno tu się stawało, pusto, ponuro...

Naraz zjawił się nowy pretendent i to nie byle jaki: Obiecywał żenić się!

Katarzyna będzie więc już miała kogoś raz na zawsze, na własność! Będzie mężatką, wdzieje czepiec i obrączkę. Usłyszy męża imię i nazwisko — wymawiane w kościele. Ksiądz połączy ich stulą. Kumoszki nazywać ją będą Łukaszową...

I znowu cała kuchnia zawrzała błogim stukiem przesuwanych stołków, szelestem mioteł i szczotek do szorowania.

I znowu zaświeciły rondle, zażółcił się piasek na podłodze, zabieliły się firanki w oknie...

Na stołku przy rozpalonym kominie siedział z butą szacha perskiego on, władca, słońce ku-

chni. I jak słoń wsuwał w siebie podawane mu bułki, bochenki, zmiatał naładowane talerze i miseczki.

W kuchni było ciepło, jasno, przyjemnie. A on, czując z jakim uwielbieniem jest słuchany — opowiadał bez końca.

Aż z kąta nieraz dolatywało cieniutkie hi-hi Franka.

— Stulisz tam gębę — strofowała go matka, zajęta zmywaniem garnków, lub cerowaniem bielizny, przy lubem świetle kinkieta, ustawionego w moździerz.

A on mówił wciąż dalej... Był to chłop barczysty, ze zdrowymi zębami, z kosmatą blond brodą i olbrzymimi czerwonymi rękami.

Nie z jednego już pieca chleb jadł. Obecnie był bez zajęcia. Utykał na nogę, którą zwichnął przy robotach kanalizacyjnych.

Teraz tłumaczył szeroko Katarzynie, że Towarzystwo Kanalizacyjne zapłaci mu za stratę tej nogi 15 tysięcy rubli odszkodowania.

Piętnaście tysięcy — suma bajeczna! Wyobrazić jej sobie wcale nie można!

Lecz Katarzyna miała już to do siebie, że kiedy kochała — wierzyła we wszystko, co każdy z władców jej mówił — ślepo, jak w Ewangielję. A jemu całymi wieczorami gęba nie zamykała się. Z powodu obfitości czasu — miał bardzo rozgałęzione stosunki. Umiał więc przeróżne dykteryjki, lub sylabizował głośno kurjera.

A na dźwięk jego tubalnego głosu Katarzynie o mało serce nie wyskakiwało z piersi. Coraz częściej przemyśliwała teraz o ślubie. Za oszczędzone pieniądze kupiła teraz sobie do przyszłego gospodarstwa kurę, która już od kilku tygodni chowała się w kuchni pod łóżkiem.

Ta kura — był to dla Franka fakt nielada. Tworzył epokę w jego życiu. Miał powierzone nad nią panowanie. A matka, wychodząc na targ do miasta, przypominała mu codziennie:

— A nie wypuszczaj mi kury, bo ci łeb urwę.

Teraz rozpoczynały się w kuchni rządy Franka. Dotychczas siedział niemy w kącie, a kura spała pod łóżkiem.

Lecz matka drzwi za sobą zatrzasnęła, a Frank wnet z miotłą wsunął się pod łóżko i wykrzyknął:

— A sio, a sio!

I kura, zbudzona ze snu, wystraszona wybiegała na środek kuchni.

Była to sobie zwykła kura miejska, która nigdy nie widziała słońca, nie oddychała szerszem powietrzem.

A jeśli w sercu jej nawet roił się ongi jakiś bućny rycerz w żółtych butach, w pancerzu z pysznych piór, serenadujący pod oknem swoje: Ku-ku-ryku! — było to już tak dawno, że nie pamiętała.

Teraz chuda, wymokła, ze swoim pierzem o mieszających się nieharmonijnie barwach centkowanych szarych i żółtawych, niezgrabna



w chodzie, z gołem szklannem oczkiem, z czerwonym grzebieniem, podobnym do niemodnego, na oczy nasuniętego kapelusza—stanowiła istny typ starej panny, egzaltowanej histeryczki, wiecznie skrzywionej i uskarżającej się bez powodu swojemi nieustannemi: Kua, kua, kua... aż uszy bolały.

— Pójdź tu! — krzyczał na nią teraz Franek w swojej roli władcy. — Masz!

Oddawał jej całe śniadanie: poskubany chleb i kawałki sera.

Jej ani śniło się — słuchać go. Nie chciała jego śniadania. Przytem uważała sobie za obowiązek udawać obrażoną za to, że ją obudził. I dreptała po kuchni, uskarżając się i gderząc bez końca.

— Pójdź tu, ty ślepa wrono! — krzyczał Franek, śmiejąc się do rozpuku z tego przezwiska.

— Kua, kua, kua—odpowiadała kura, wchodząc nazad pod łóżko.

— Nie chcesz, nie chcesz? Poczekaj, ja ci dam! — rzekł włączając pod łóżko z wielką miotłą.

A ona, egzaltowana histeryczka podniosła naraz taki rwetes, jak gdyby pułk ułanów czyhał na jej cnotę. Zaperzona wleciała — nie wiedzieć po co — na łóżko; potem na stół, stamtąd na szafę.

— Ach! Ty, ty... krowo holenderska! — zawołał Franek, nie umiejąc dobrać przezwisko.— Ty, ty, świniol!

Aż zmarszczył się, taki był rozgniewany na nią, iż do tego stopnia nie zna się na żartach.

— A sio, a sio! — bronił się już mniej śmiało.

Lecz ona, niezgrabna zrzuciła w zapale szklankę, która rozprysła się o ziemię ze stukiem na kawałki.

Drzwi się otwarły. Weszła z olbrzymim koszem matka. W kuchni zapanowała już cisza. Franek siedział z książką. Kura — jak gdyby nic — siedziała pod łóżkiem.

— Mamo! — ośmielił się bąknąć po chwili.  
— Szlanka się zbiła.

— Kto ją zbił? — huknęła, wybuchając.

— Nie ja. Jak Boga kocham. Sama się zbiła.

Dostał kilka razy w łeb. Lecz nie zdradził tajemnicy kury. To już była kwestja do załatwienia pomiędzy nimi obojgiem. Ale skarżyć na nią — nie chciał.

Tak mijały dnie, tygodnie. Matka, codziennie wychodząc do miasta, powierzała opiece Franka kurę; a on ze znaną już gorliwością obowiązki swoje spełniał i wnet po wyjściu matki rządy swoje zaznaczał.

Lecz Łukasz od kilku dni już nie przychodził. Katarzyna chodziła — jak bez głowy. Wszystko z rąk jej wypadło. Stukała drzwiami, a talerze i stołki podczas mycia aż trzeszczały.

Teraz, wychodząc do miasta, klnąc pod no-

sem — stłukła szybę u okna wielką szczotką do zamywania.

— A pilnuj mi kury! — z przyzwyczajenia rzuciła Frankowi na odchodnym.

Trzasła drzwiami i wyszła. Dzień był pogodny, słoneczny. Franek był jakoś różowo usposobiony; nawet kura, przywołana już za pomocą miotły z pod łóżka — wyszła stamtąd jakby w lepszym humorze.

Franek w wytartych spodenkach, bosy — klęczał teraz na podłodze i bawił się z nią, jak z małym pieskiem. Włożył do ust kawałek bułki, a ona, drepcąc — to zbliżała się do niego, to — oddalała nie ze strachu, lecz ot tak z figlów...

I Frankowi zdawało się, że widzi nawet uśmiech na jej fizjognomji. Naturalnie, był to tylko półuśmiech osoby, mającej sobie za obowiązek być wiecznie zadowoloną.

Taką już miała naturę. Trzeba jej było wybaczyć ze względu na to, co już w życiu przechodziła: Boże wielki! Więziono ją w koszy; wożono w ciasnych kocykach na targi. Ba! Nawet czyhano już nożem na jej życie.

Lecz Franek czuł, że poza tem wszystkiem — ona, choć przyznać się do tego nie chce, ma do niego pewną słabośćkę.

I teraz strzeliło mu naraz coś do głowy: pochwycił ją wpół i jak nie zacznie tulić, całować po piórkach, po dziobku i szeptać pieszczotliwie:

— Moja kura, moja kureczka ukochana! Ty, ty, moje złotko jedyne!

Kura w pierwszej chwili zgłupiała. Lecz przyszedłszy wnet do przytomności — wyrwała się z całych sił z jego objęć; i, jak gdyby czyniąc mu wymówki, dąsała się, zdając się mówić:

— Nie lubię takich głupich żartów. Co za nadto — to niezdrowo. Proszę mi w tej chwili przestać się śmiać.

A on nie mógł opanować śmiechu. Taką miała minę srogą, a taką zarazem komiczną.

I naraz przyszła mu ochota jeszcze raz ją pochwycić i postawić sobie na ramieniu, jak gołębia. Lecz kiedy chciał zbliżyć się do niej — ona, cała zatrzęsła się; i napuszczona i oburzona — stała się naraz tak groźną, aż Franek, trochę przestraszony — cofnął się.

Ale zaraz po chwili począł przywoływać ją najczulszemi przezwiskami i prośbami. Wreszcie jął częstować przechowywanemi dla niej ukradkiem specjałami: Kaszą z wczorajszego obiadu, najpiękniejszymi ziarnkami grochu i gotowanemi kartofłami.

Ona patrzeć na niego nie chciała.

I, stojąc napuszczona w końcu pokoju — powtarzała w kółko swoje żale i krzywdy, wymówki i urazy.

Mówiła coś o zerwanych już z nim na zawsze stosunkach. Zbliżyć się do niego — za nic w świecie nie chciała.

Lecz on się uparł: musi ją pochwycić; rozgniewała go w końcu jej przesada.

— Nie chcesz, nie chcesz? Poczekaj, ja ci tu zaraz dam.

Poczęli się gonić. Ona na łóżko — on na łóżko. Ona na stół, on za nią — na stół.

Naraz uszczęśliwiona ujrzała stłuczoną szybę; i jednym rozpaczliwym susem — frf... wyfrunęła przez okno.

Franek osłupiał. Nic podobnego do głowy mu przedtem nie przyszło. Chciał krzyczeć; lecz coś w gardle mu stanęło.

Przebiegł prawie nieprzytomny wszystkie pokoje. Lokaja nie było.

Wyruszyć z kuchni przecież mu nie wolno. Matka nawet buty schowała. Lecz wobec ważności faktu—otworzył drzwi i, myśląc sobie: niech się dzieje, co chce — wybiegł bosy, bez czapki—bocznymi schodami na podwórze.

Wszystkie oficyny stoją nieporuszone w tem samem miejscu, co dawniej. Słońce świeci; ptactwo świergoce, jak gdyby nic...

A kury niema.

Dokoła pusto i głucho. A niebo nad nim takie ogromne; a on czuje się taki maleńki...

Na podwórzu — jakby makiem zasiał. Stróż wymiótł już wszystkie rynsztoki. Nie było też ani jego, ani żadnej sługi, ani żywego ducha w żadnem oknie.

— Co tu robić, co robić?

Dokoła cisza.

I Franek, rozglądając się wśród tej pustki — podnosi do góry głowę i nagle dostrzega — kogo? Ją, kurę, która siedzi spokojnie na parkanie, oddzielającym podwórze od sąsiedniego domu.

Franek aż ręce złożył do niej, jak do modlitwy. Wszystko zależało przecież jedynie od niej. Bo on nie może wejść na tak wysoki parkan.

Wszystko zależało on niej...

Franek nie śmiał nawet jej wołać. Patrzył na nią tylko wzrokiem, tak czułym, tak błagalnym...

A ona „krowa holenderska“, zmęczona fruwaniem, sapie, jak gdyby wahając się, czy zejść, czy nie zejść?

— Boże drogi!

Frankowi — wobec jego rozpacz — wydawało się to jej wahanie nietłósnymi drwinami.

A ona w końcu zdobyła się na postanowienie, zdając się mówić:

— Eh! Lepiej sobie pójde...

Zatrzepotała niezgrabnie skrzydłami i, nie spojrzawszy już na niego — odleciała do sąsiedniego podwórza.

Franek uchwycił się obiema wychudłemi piastkami za gołą głowę. Pojął, że teraz wszystko się skończyło. Nie było już na to rady. Nie miał już co robić na podwórzu.

I pobiegł pędem do kuchni, jak gdyby go kto gonił.



Zasiadł samotny w swoim kącie i czekał, aby matka jaknajprędzej wróciła. Niech się dzieje, co chce...

I zaledwie drzwi kuchni się otworzyły — zerwał się drżący z kąta i nerwowo rzucił matce:

— Mamo, kura uciekła!

Katarzyna tylko co dowiedziała się od kumoszek, że Łukasz nie tylko jest żonaty, lecz nadto spędza od kilku dni wieczory u kucharki z sąsiedniego domu.

Teraz jeszcze ta kura... Nie, tego stanowczo za nadto, jak na jeden dzień!

— Kto ją wypuścił? — huknęła grzmiącym głosem.

— Sama, — ratował się gorączkowo, czując, że tonie. — Sama, samiutka. Usiadła na okno — tu przełknął ślinę, która mu w gardle zawadzała — usiadła na okno i... i... i uciekła.

— Ja ci tu zaraz dam: uciekła!

I jak nie zacznie krzyczeć: ty taki, ty owaki, jak nie położy go na kolana...

A Franek urywanym głosem wykrzykuje tylko żałośnie:

— Oj mamó, oj, oj, mamó, oj mamó!

A Katarzyna wciąż go dalej bije, bije, bije, jak gdyby chcąc tem ulżyć sobie za wszystkie zawody, za wszystkie cierpienia, jakie przechodziła w życiu przez jego ojca i przez ojca jego braciszka i przez Łukasza i przez wszystkich, wszystkich, wszystkich...

Wreszcie zmęczona, zziajana — wypuściła

go i, sapiąc tylko — zajęta teraz rozniecaniem ognia na kominie — wykrzykiwała jeszcze bez końca:

— Dam ja ci. Ach! ty taki, ty owaki. Żeby cię...

Franek stulony, w kłębek prawie zwinięty, siedział w swoim kącie.

A na jego skrzywionej od płaczu twarzyczce — ciche, wielkie łzy jedna za drugą spływają...

Dostał wały, ech! To nic. Matka jest od tego, aby biła. Martwiło go więcej, że już kury nie zobaczy.

Lecz ponad wszystkim rozdzierał mu serce i dusił go niewypowiedziany, niejasno sformułowany, lecz nie mniej głęboki, głęboki żal... do niej.

Co było między nim, a nią — to było. Bywało raz tak, raz owak. Lecz ona, jako porządna kura — nie powinna była w każdym razie mu tego wyrządzić. Nie powinna.

Przecież domyślała się, jakie uczucia on ku niej żywi... A on łudził się, że nie był jej sercu zupełnie obojętnym!

I jakby w przeczuciu wszystkich okrutnych nieporozumień, które niemym murem wiecznie od reszty świata oddzielać go będą — ciche, gorzkie łzy pierwszego zawodu, krzywdy i zdrady — spływały mu wciąż po wychudłych dziecięcych policzkach.

Użyźniony rosą łez, męką zawodu i krwawym bólem — Franek, z czasem przestał już

być dzieckiem. Nie chciał dłużej znosić szturchańców matki i poszedł śmiało w świat. Miał dopiero lat dziesięć. Lecz w wilgoci suteryn zielsko dojrzewa wcześniej, niż cieplarniane kwiaty.

A jednak kiedy ujrzał po raz pierwszy w życiu nad wieczorem wielkie miasto — zmęczony całodzienną drogą — przeląkł się. Bo wychowany w ciszy podmiejskiej — nie wyobrażał sobie nic podobnego. Ten ruch tramwai, dorożek, aut i cudackich wozów reklamowych z monstrualnymi kolorowymi figurami... I te pochody wykorzystumowanych pajaców, obnoszących na złoconych kijach transparenty z premierami kinematografów... I te szyldy i wystawy sklepów, migające setkami różnokolorowych, wciąż zapalających się i gasnących lampek elektrycznych... I te dzwonki tramwai, trąbki samochodów, nawoływania przekupniów... Ta cała piekielna wrzawa, ruch, pęd, krętanina i ogłuszający gwar — to wszystko wydawało mu się potężną siłą, czyhającą na jego sieroctwo i słabość, którą on musi zwalić, aby się przebić i wydostać.

I przerażony tą bezgraniczną swoją samotnością i słabością wśród potęgi tłumu obcych mu ludzi — zapłakał ostatnimi już łzami w życiu. Bo wnet opamiętał się. Otarł sobie rękawem nos i oczy i rzucił śmiało wyzwanie:

— Niedoczekanie wasze. Nie dam się!

Nie znał żadnego rzemiosła. Więc wybrał so-

bie (choć czytać i pisać nie umiał) wolny zawód dziennikarza, t. j. sprzedającego dzienniki.

Choć z początku posiniaczonego przez konkurencję nie dopuszczono w tłoku do biura administracji gazety — zdobył od biedy makulaturowe kalendarze i wkrótce darł się jeszcze dziecięcym głosikiem w niebogłoty — silny już i połączony ze stolicą, jak u siebie w domu:

— Kalendarz „homorystyczny“. Za jedne dziesięć groszy — można uśmieć się i cały dom rozweselić.

Kiedy miał lat dwanaście był tak zwanym dorosłym czyli tak bezmyślnie głupim, jak dorośli jego koledzy i... niekoledzy. Przepadał za walkami cyrkowych atletów i za piechurami, wynagrodzonymi pucharem w gonitwach na około placu Saskiego. Był już dorosłym i, spluwając przez zęby, mówił:

— Brachu, cholero, a to ci bycza stypa! — kurzył papierosy, zaczął chlać wódkę i pod parkanem grał z kolegami jednolatkami w karty i umykał, jak kot, dostrzegłszy zdala sunącego milikusa, cholere. Miał już lat dwanaście.

I tak, jak wszyscy dorośli już miał kochankę; sprzedawała frysy w alejach. Była o rok od niego młodszą. I Franek bił ją, kiedy nie chciała dać mu groszaków na papierosy, lub na gorzałkę. Raz ją nawet poranił, przekonawszy się, że dzięki jej, musi iść do Łazarza. I zemścił się na kobietach wogóle, uwiódłszy jej przyjaciółkę, którą dzięki jemu — odesłano również

na podobną kurację do szpitala. Nie litował się nad nią, cholera!

Był już zupełnie dorosłym. Nie kochał nikogo. Żył jedynem błogiem dziecięcym wspomnieniem:

To była jedyna miłość w całym jego życiu: Owa kura, która jaknajniesłuszniej go porzuciła; wyrzuciła mu tę straszną krzywdę. A ta krzywda zepsuła go; nauczyła go złości. Bo ta krzywda zatruiła i zgangrenowała mu duszę. Jako porządna kura, nie powinna była mu tego wyrzucić. Bo on tę brzydką, głupią kurę... kochał.

---

ADALGILDA



Gawędzili przy czarnej kawie i palili papierosy — kiedy wszedł służący i szepnął coś gospodarzowi domu — na stronie.

— Musicie mi wybaczyć — tłumaczył się przed swymi gośćmi — stara pacjentka, wypadek niezwykle i groźny. Nie można odmówić. Ale mieszka niedaleko. Niebawem powrócę.

— Psia służba — litował się po jego wyjściu jeden z gości — ani jednej chwili wolnej. To nie to, co być mistrzem, stąpać po laurach, mieć sławę i za życia chodzić w wawrzynach, prawda, maestro?

Ten, do którego były zwrócone te słowa — nazwany mistrzem — był to pan o długich, szpakowatych włosach, pięknych rozmarzonych oczach i bladej twarzy. Znany typ romantyka poety, malarza, lub kompozytora.

— Sława, laury, wawrzyny — mówił z uśmiechem smutnym, podług kobiet, interesującym — wszystko to zabawki dla małych, bardzo próżnych dzieci. Pamiętam, było to w czasie wy-

stawienia mojej opery „Adalgildy”. Przyjaciele ściskali mnie za ręce, winszowali. Miałem wielką ochotę zapytać — czego? Byłem upojony. Ale jak mówią Francuzi: *j'avais le vin triste*. Nazajutrz przyjaciele czytali mi krytyki pochwalne, w których ja widziałem tylko nagany, wyczytywane pomiędzy wierszami. I mój smutek nie ustawał.

— Czego ty właściwie jeszcze chcesz?—mówili mi przyjaciele. — Aby ci wystawiono za życia pomnik? Zyskałeś powodzenie, oklaski! Trudno być gienjuszem.

Niestety! Bardzo trudno być gienjuszem. Wiedziałem o tem doskonale. I unikałem ludzi, czując w napadach skromności żal do bogów, że nie natchnęli mnie do lepszej pracy. A w napadach wyniosłości znowuż pogardzałem ludźmi, którzy nie pili z Kastalskiego źródła, czując się w każdym razie od nich o niebo wyższym i z innej gliny ulepionym.

Wreszcie „Adalgilda” moja po jakimś czasie miała być znowu wznowioną. Tytułową partję objęła teraz ulubienica publiczności, bawiąca podczas mojej premjery na urlopie.

Kasa zapowiadała się nieźle; lecz byłem rano na próbie i primadonna wcale mi się nie podobala. Gdybyż tylko primadonna, ale na co ukrywać? — cała „Adalgilda” wydała mi się po prostu ohydnej, którą kochałem z bólem matki, miłując swoje dziecko — niestety — ułomne.

Wieczoru tego nie zapomnę nigdy. Nie wie-

działem, co robić? Wszyscy moi najbliżsi byli na przedstawieniu mojej opery. Choć oczywiście do żadnych wizyt nie czułem się zdolny. Nie mogłem też wysiedzieć w domu. A tembardziej iść za kulisy i przypatrywać się w ukryciu, jak ów ojciec akrobaty, drżący, aby jego małeńki synek skoczek nie spadł z trapezu areny cyrkowej. Głowa mi pałała. A nerwy łopotały we mnie, jak wahadło zepsutego zegara. Przypomniał mi się wtedy gospodarz, który nas w tej chwili ugascza. Mogłem być spokojnym, że nie jest w teatrze. Nigdy nie lubił muzyki. Dnia zaś poprzedniego oświadczył mi, że we wtorki miewa dyżury nocne w klinice. Zapraszał mnie tam na partję szachów.

Postanowiłem dla uspokojenia się — w tej chwili skorzystać z tego zaproszenia. Wiadomo panom, że kolegowaliśmy się ze sobą w szkołach, choć on wybrał medycynę, a ja prawo, które porzuciłem po ukończeniu dla konserwatorjum lipskiego, następnie paryskiego, aby utrzymywać się teraz z lekcji muzyki, za co — jak pan wspomniałeś — stąpa się po laurach i wawrzynach. Lecz nasz doktor od najmłodszych lat był do mnie niepodobnym. W szkołach potrafił zaskarbić sobie łaski belfrów. To on odnosił zwykle do ich mieszkania ćwiczenia i extemporalia; w uniwersytecie on redagował i wydawał kursa. Śmiał się przytem z mojej muzyki, prorokując, że z głodu zdychać będę. A po ukończeniu uniwersytetu — pod-

czas kiedy ja ożeniłem się „z miłości” — on zrobił — to, co się nazywa „świętą” partję, jak najzwyklejszy filister karierowicz i jest jaknajlepszym małżonkiem i ojcem.

Ale powracam do owego wieczoru w klinice. Dyżurowało ich czterech. Grali w winta czy też w preferansa. I mam przed oczami ten pokój źle oświetlony, z wyszarzanemi fotelami i z szafą oszkloną, pełną instrumentów, bandaży opatrunkowych, z ete-rem i amoniakiem, służącym do pierwszej pomocy. I ta atmosfera kwasu karbolowego i jodoformu... I te siostry miłosierdzia z twarzami, jak z obrazka, w czepcach z wielkimi białemi skrzydłami, które wpływają od czasu do czasu cichutko do pokoju z jakimś zapytaniem i jak widma znikają. Śród tej ciszy przerywanej dzwonem, zwiastującym przybycie chorego lub wizytę felczera — rozlega się monotonne: bez atu, pas, pas, pas — grających w preferansa.

Lecz nagle zdarza się fakt mniej zwykły. Do pokoju wpada jakaś matka z umierającym dzieckiem na ręku. Woźny tłumaczy się, iż wtargnęła tu gwałtem. Dziecko ma twarzyczkę prawie fioletową, jakby mu ktoś powrozem szyjkę ścisnął i, usiłując pochwycić powietrze, znać, że męczy się, jak stary człowiek.

Doktór rzuca karty, które trzymał w ręku i, jak dziś, usprawiedliwia się, przed grającymi:

— Poczekajcie. Chwileczkę.

I znika w sąsiedniej sali operacyjnej.

— Cóż? — zapytałem, kiedy powrócił i brał karty do przerwanej gry.

— Najzwyklejsza tracheotomia. Przecięcie krtani i włożenie rurki. No, panowie. To ja rozdaję karty, prawda?

— Żyje... Żyje! — szeptałem.

Do pokoju weszła matka i, jak długa, rzuciła się do kolan doktora. Siostra w czepcu z białymi skrzydłami trzymała na ręku dziecko, z którego twarzyczki znikło już widmo śmierci, ruchy konwulsyjne ustały, oddech był spokojny.

Lecz ta baba nudziła ich swoim wylewem radości, szczęścia i wdzięczności. Otulono dziecko i kazano woźnemu odprowadzić ją do furty szpitalnej. Mogli spokojnie kończyć swego preferansa.

— Bez atu, dwa pik, dwa kara, pas, pas, pas...

Wybiegłem, nie żegnając się z nimi.

— Ocalił życie! — Nie wychodziło to z mojej głowy. — I te łzy matki, które osuszył — bez żadnego patosu, bez żadnej deklamacji. Kończył spokojnie swoją partję winta czy też preferansa!

I jakim drobiazgiem wobec tego była moja „Adagilda“, pochwały lub nagany krytyki i zachwyty lub nie zachwyty łaknącej zabawki — publiczności. I przypominał mi się inny kolega, jeszcze jeden z tych, co nie pili z Kastalskiego źródła — z zawodu prawnik, który uratował

od grożącej im nędzy wdowę z rodziną i ocalił człowieka, niewinnie skazanego za zbrodnię, której nie popełnił. Oczyszczył z hańby uczciwe nazwisko!

I doznałem nagle uczucia człowieka, który wdrapawszy się z mazołem na pięć uciążliwych piętr — spostrzega nagle, że się pomylił. To, czego szukał — było tuż przy nim na dole. Odtąd przestałem pogardzać filistrami. A jeżeli mi się i dotychczas jeszcze czasami zdaje, że jestem z innej, niż oni, ulepiony gliny — to nie sądzę już teraz, aby ta moja glina była... lepszą.

— Dziękuję mistrzowi w imieniu własnym i wszystkich lekarzy—wyciągnął do maestra rękę sympatyczny młody asystent chirurga — za tak szczytną opinię o naszym zawodzie. Oczywiście ratunek zdrowia, a nieraz i życia — to wielka rzecz. Ale i bez architekta, inżyniera, rolnika, szewca, a nawet bez czyściciela kanałów i bez praczki, która nam nasze brudy pierze — życie nie byłoby zbyt łatwe. Lecz niech nam maestro wierzy, że każdy z nas posiada swoją Adalgildę. Chcielibyśmy, aby była inną, a kochamy ją taką, jaką jest — wyrwał się z własną bolączką, podobno... sercową.

— A jednak my wszyscy—upierał się skromnie przy swoim młody asystent—jesteśmy jedynie opiekunami ciała, podczas kiedy wy uszlachetniamie naszego ducha. Ukazujecie nam horyzonty, których żaden z najradykałniej wyle-



czonych naszych pacjentów nie ogarnął by bez was.

— Tak, zgodził się z goryczą maestro — umiemy wam życie. Czy ta gra jest warta świecy?

— Nie rozumiem.

— Dla przykładu przytoczę pewnego muzyka. Mówiąc bez obłudy, przytoczę własne curriculum vitae: Oto wykuwając niezmordowanie od dzieciństwa do rozkwitu lat po osiem godzin dziennie t. zw. pięciopalcówki i inne egzercycje fortepjanowe, uzyskałem za swoją pilność i wyróżniający się talent — patent w konserwatorium warszawskim, a następnie w lipskim i paryskim. Niezadowolony jeszcze z siebie ponownie wyjechałem na dalsze studia zagranicę po to, aby po latach dalszej pracy u najślawniejszych mistrzów zdobyć nareszcie estradę stołeczną, prowincjonalną i letnią w kasynach uzdrowiskowych. Miałem wszędzie niezłe krytyki i duże oklaski w wiecznie pustej sali. Cóż dziwnego, że wobec tego musiałem wreszcie zdecydować: Nie chcecie mnie? E basta.

Wyrwawszy się niedyskretnie ze swoją bolączką, maestro, gładząc długie szpakowate włosy — nie potrafił już zatamować swego rozpędu i wybuchnął naraz tą szczerością, jaką niekiedy w podnieceniu wybuchają najbardziej skryci ludzie, otwierając naraz na oścież pilnie ochraniały dotychczas własny jardin secret.

Rutynowany służący Andrzej wniósł w nieobecności gospodarza świeżą maszynkę wonnej kawy i świeżą butelkę Martela na tacy.

Lecz nastrój zacisznego gabinetu nie rozjaśnił się, jakby pogrążony w ołowiu. W mocy niewidzialnych smutnych duchów.

Było już dość późno. Lecz goście w nieobecności gospodarza odczuwali nie tak samotność, jak pewne melancholijne zmęczenie. Może abażury lamp zbyt silnie zaciemniały światła elektryczne? A i koniak nie rozwesela, lecz posmutnia. Dość, że pod wpływem wspomnień mistrza mieli wrażenie, że znajdują się nie w wytwornym estetycznym gabinecie, lecz w owej dyżurce nocnej w klinice, jakby czuli zapach eteru z amoniakiem, czy też karbolu z jodoformem. I mimo woli badali, czy i tutaj w szafie za książkami nie ma przypadkiem instrumentów i bandaży opatrunkowych.

I cisza poczęła znów rozbrzmiewać smutną pieśnią zwierzeń maestra:

— Lecz poza kunsztem fortepjanu — ciągnął swoją spowiedź, jak przed konfesjonalem — dzięki swemu kultowi dla sztuki, zdobywszy gruntowne podstawy teorii muzyki, kontrapunktu, klucza i t. d. wzięłem się do kompozycji i po latach „stworzyłem” „Adalgildę”. I za pomocą ustępstw i zabiegów, o jakich filozofom się nie śniło — zdołałem swoją „Adalgildę” wystawić w teatrze. I znowuż niezłe krytyki, oklaski i dziesięć przedstawień w niezbyt pełnej sali.

I znowuż kilka lat ciężkiej pracy. Lecz ponieważ następnych oper z różnych względów nie udawało mi się na scenie wystawić, wznowiłem dzięki zabiegom, o jakich filozofom się nie śniło „Adalgildę“, nad której udoskonaleniem znowuż się mozoliłem, prawie, jak ów malarz z Zołowskiego l'Oeuvre'u, który powiesił się na stalugach swego nieskończonego obrazu — nie w mocy stworzenia czegoś lepszego, niż... mógł. Z takiego bólu artyści nieraz kończą w Tworach. Bo jak już mówiłem, ja niestety kocham swoją „Adalgildę“ — poprawił sobie charakterystycznym nerwowym ruchem swoje długie szpakowate włosy.

— Jakie to są sposoby wystawiania swojego utworu, o jakich filozofom się nie śniło?

— Uczyniłem z miłości dla niej szantaż.

— ?

— Postarałem się o współpracownictwo w jednym z najpoczytniejszych dzienników specjalnie w tym celu, aby dyrekcje teatralne i koncertowe obawiały się moich szykan krytyki w moim poczytnym dzienniku, bardzo szkodliwych dla ich kasy. Musieli więc pod tym terrorem wznowić mi moją operę w najlepszej wystawie i w najlepszej obsadzie. I znowuż niezłe krytyki (pod terrorem obawy mego odwetu). Znowuż oklaski i znowuż 6 przedstawień w niezbyt pełnej sali. Ten najstraszniejszy succes d'estime. Pewność, że po mojej śmierci, kiedy nikt już dla „Adalgildy“ szantażować nie będzie

— nie ma już nadziei jej wskrzeszenia. Ale czy to by nie warto już do domu się wynosić? Nie doczekamy się gospodarza.

— O! Pan doktor bardzo by się gniewał, gdybym ja szanownych panów wypuścił — zapraszał ich gościnnie stary Andrzej, kusząc wniesioną jakąś bardzo zaciekawiającą (o dziwacznych kształtach beczułki) porcelanową butelczyną japońskiego likieru, do którego ustawił na tacy świeże kieliszki.

— Tiens, tiens! — rozkoszowali się goście nieznanym nektarem, i, usiłując poprawić pochmurny nastrój niepotrzebnych zwierzeń mistrza, pocieszali go ze zwykłą przyjazną oschłością komunałów:

— Wiadoma rzecz, że pierwsze kroki...

— Mam już lat 49 — rozpędził się już nie do powstrzymania w potopie rozlanej własnej goryczy — a Moniuszko, jedyny gienjalny poza Szopenem kompozytor polski od morza do morza nie uzyskał w ciągu dziesiątków lat tylu przedstawień swojego najświetniejszego „Strasznego dworu“, ile leharowska „Wesoła wdówka“ w jednym sezonie.

— Ależ drogi panie — przerwał sympatyczny młody asystent — to niczego nie dowodzi; bo i opery Glucka, Mozarta i Beethovena nie mogą rywalizować kasowo ani z „Wesołą wdówką“ ani z „Ptasznikiem z Tyrolu“.

— Moja żona i ja skwitowalibyśmy bardzo chętnie z dobrobytu Lehara, mając pewność, że

moje utwory są bezwzględnie dobre; tak dobre, aby mogły wśród milionów wyróżniać się do końca świata, jak utwory Szopena, jak Gluck, Mozart i Beethoven. Lecz wobec tego, że trudno jest być gienjuszem, jak najśluszniej pan za-uważył, trzeba było zaniechać niestety kompozycji tak, jak zaniechałem już koncertowania. I utrzymuję się teraz z lekcji bez wiary w swój nowy zawód pedagogiczny (jakżeż słuszenie zwan-y zawodem!), przyczyniając się z musu do corocznego wzmagania się liczby wykolejeńców, takich, jak ja. Bo poza konserwatorjami czynią to samo akademje sztuk pięknych, wypuszczając corocznie setki dożywotnich skazańców za ich hazard na wielką wygraną. Bo w sztuce nie ma tak, jak w innych zawodach, użytecznych śred-nich lekarzy, średnich adwokatów, inżynierów, rzemieślników. W sztuce jest się albo gienjuszem, albo wykolejencem. Zadużo produkujemy w naszych oranżeryach kwaśnych winogron, zadużo graczy na rouge ou noir.

— Nietylko u nas się to dzieje. Zwiedza-łem nieraz coroczny wielki salon w Grand Palais w Paryżu. Co rok tysiące nowych obrazów.

— Płakać się chce, prawda? Tyle pracy, tyle zamięłowania, tyle zdobytej techniki, tyle zdolności... I ani jednego dzieła sztuki. Nie chodzę już nigdy do Grand Palais w Paryżu. Wystarcza mi niezmordowane odwiedzanie wiecznie tegoż samego od wieków Luwru, tej



kwintesencji gienjuszów całego świata, jacy narodziłi się w ciągu wielu stuleci.

— Nie każdy może jeździć do Paryża.

— Ależ cała kula ziemiska posiada bajecznie tanie reprodukcje arcydzieł, które stokroć przyjemniej posiadać w swoim pokoju, niż oryginały średnich artystów. I wolę słuchać przez radio koncert Szopena w wykonaniu Paderewskiego, niż *Prière d'une Vierge* Bądarzewskiej w wykonaniu laureatki konserwatorium. Tak, tak, moi drodzy. W sztuce nie wygrywa się, jak na loterii stawek. Jest tylko na tysiące jedna wielka wygrana.

— Pan Bóg w swoim bezgranicznem umiłowaniu — zaopiniował filuternie sympatyczny młody asystent — zesłał tym, jak pan nazywa wykolejeńcom wielki atut życiowy: ślepotę. Oni nie zdają sobie sprawy, że się pomylili i że nie mają talentu. Już stokroć znośniej jest łudzić się, że się jest zapoznanym i krzywdzonym, niż trzeźwo zawyrokować o sobie: Jestem do niczego.

— Pan Bóg nie dla wszystkich jest jednakowo miłosierny — bluźnierczo syknął niedwuznacznym żalem maestro i, parafrazując Kartezjusza, zdecydował:

— Wątpię, więc jestem.

Nie przyjmujący dotąd udziału w rozmowie najślynniejszy adwokat warszawski, znany ze swojej wymowy w sali sądowej i ze swojej mru-



kowatości w życiu prywatnem — zbudził się wreszcie ze swego milczenia:

— Wy artyści, nawet ci niby najskromniejsi, paradni jesteście ze swoją manją wielkości.

— ?

— Jesteście przekonani, że Bóg was stworzył z innej, oczywiście z lepszej gliny, niż wszystkich innych śmiertelników. Wam się zdaje, że na pańską parafrazę Kartezjusza zdobywają się jedynie mózgi, czy też, jak wy nazywacie — dusze artystów. W waszej megalomanji nie przyszła wam nigdy refleksja, czy i nas nie męczy nieraz zmora, że to z naszej winy chory umarł, lub niewinnego skazali na szubienicę. Z naszej winy. Tak nas osądzi świat, cała opinja, krytyka. Choć przecież i nasze talenty mają także swoje granice, których ani na jeden krok nie pozwalają nam przekroczyć silniejsi od nas bezlitośni szatani. Z ich okrutnego wyroku nie możemy dać tak, jak i wy ani o włos więcej, niż dajemy — załamowani wyznaczoną nam przez piekła granicą naszych sił i naszej mocy. Nie możemy uratować ani chorych, ani niewinnie sądownie skazanych. Lecz wam się zdaje, że to wy jedynie posiadacie monopol na dusze, na subtelność i cienkość i że to tylko wy jedni żyjecie życiem wewnętrznem, wy jedni kochacie wasz zawód. I choć tak niby skromnie przyznałeś, że wy tylko umilacie próżniacze chwile szanownej publiczności, podczas kiedy my budujemy wprawdzie jakieś tam kanały, te-

lefony bez drutu, lub przefruwamy nad Atlantykiem; lecz gruboskórnie bez życia wewnętrznego w interwałach — gramy sobie najspokojniej w winta lub w preferansa — przejęci jedynie naszemi asami i atutami. Otóż drogi, panie, nazywam artystów megalomanami dlatego, że jak wszyscy inni chorzy pacjenci, zajęci wyłącznie własnymi cierpieniami i własną autoanalizą—nie wpadliście nigdy na myśl o naszych udrękach, przeżywanych zamiast na scenach widowni — u łoża walki ze śmiercią lub na trybunie w walce o honor. Męka starzejącego się siłacza w cyrku, pokonanego przez innego gladiatora! Męka brata Małgorzaty, pokonanego w pojedynku przez kochanka siostry, Fausta, któremu pomagał szatan, Mefisto. Tak, tak, miły mistrzu. Każdy z nas ma swoją „Adalgildę“, nieraz złą i brzydką, bez której jednak żyć nie może.

— Chciało by się, aby była inną; a kocha się ją taką, jaką jest, — powtórzył melancholijnie swoją definicję młody asystent.

W drzwiach ukazał się nareszcie gospodarz domu. Był bardzo blady. I na pytanie, jak się miewa jego chora, odrzekł ze smutnym nieszczerym uśmiechem:

— O! Już zupełnie dobrze.

— ?

— Przed chwilą umarła.

Młody asystent z gorzkim uśmiechem szepnął mistrzowi na stronie:

— Widzi pan, każdy ma swoją „Adalgildę“, co go gryzie.

Goście żegnali się i usunęli. W drodze żaden z nich nie przemówił słowa. Francuzi słusznie rozdzielają: vins tristes et vins gais. Likier japoński należy widocznie do tych pierwszych.

Lecz nawet niezupełnie trzeźwi zgodzili się w myślach na jedno:

— A jednak nie można żyć bez Adalgildy...

K O N I E C.



## S P I S R Z E C Z Y

---

	Str.
Optymistka . . . . .	5
Kastor i Poluks . . . . .	55
Jawne tajemnice . . . . .	75
Pan Olutek . . . . .	85
Bez serca . . . . .	107
Dwie miary . . . . .	127
Franek i jego kura . . . . .	151
Adalgilda . . . . .	171

---